

PRZYCZYNNKI DO DZIEJÓW SZKOŁY



W tym czasie nauczycielem był Szymon
Kojowski do dnia 14 lipca 1825 r. w któ-
rym do dnia senki zmarł. Ks. Kuderowski
wikaryusz miejscowy zajął się po śmierci
nauczyciel. ... dniem szko-
ty. Ue ... 28 dzień.
era ...
K ...
spr ...
miejsc ...
władzt z pot ... nego pod
d. 1 maja 1831 do l. 98 nowomianowanego
nauczyciela Władysława Wójcickiego.
W dniu 1 października 1835 r. był nau-
czycielem szkoły porządkowej na dzie-
reżnicu, mianowany przez Dorotę Główną
Andrzej Kowalski i obowiązki swe prze-
wodził do dnia 7 grudnia 1862 r. w którym

Po ukazaniu się w roku 2010 „Dziejów Szkoły” na stronie internetowej, a także po opublikowaniu ich drukiem, zaczęły napływać informacje od osób zainteresowanych tekstem i mających sentymentalne lub zawodowe związki ze szkołą.



I tak kontakt z byłym dyrektorem **Stanisławem Sroką** zaowocował sporą ilością dopisanych do poprzedniej wersji faktów, opisów zdarzeń lub nawet korektą niektórych danych. Jego uwagi zostały uwzględnione w drugiej poprawionej edycji „Dziejów Szkoły”.

Zachowane w żywej pamięci szczegóły z życia placówki w latach 1969 – 1980 przyczyniły się do lepszego zilustrowania tego okresu. Aż żal, że nie sposób zamieścić w skromnych ramach kroniki wszystkiego, co zostało nam przekazane czy opowiedziane przez p. Stanisława Srokę.

Opisane poniżej sytuacje stanowią nie tylko ciekawostki z owych czasów, ale są też żywą ilustracją ich specyfiki, nieznaną młodemu pokoleniu. Wtedy to była trudna codzienność, dziś zakrawa na wytwór wybujałej wyobraźni.

I tak na przykład dowiadujemy się, że w „Dziejach Szkoły” znalazła się informacja: „Od czasu powstania budynku szkolnego w roku 1912, podłogi w salach lekcyjnych stanowiły deski pokryte czarnym smarem dla ich konserwacji. W roku 1970 zostały wymienione na parkiet, co wówczas było nie lada przedsięwzięciem, ze względu na nieosiągalność na rynku stosownego surowca.”

Jest rzeczą oczywistą, że inwestycje powstawały z inicjatywy dyrektora instytucji, ale w owych czasach najczęściej od osobistych tzw. kontaktów tegoż dyrektora zależało powodzenie podjętych działań. Dyrektor Stanisław Sroka należał do takich osób, które umiały spod ziemi wydostać deficytowy materiał, a nieosiągalnym wówczas artykułem były zwykłe klepki podłogowe. No i z tego niebytu wyłonił się całkiem przyzwoity parkiet, którym pokryto wszystkie podłogi sal lekcyjnych (korytarze od początku wyłożone były płytkami).

W roku 1975 zaczęły ukazywać się „Nowinki szkolne” – pierwsza w Krakowie gazetka redagowana przez uczniów, pod opieką p. Janiny Szczepan-Skrobackiej. Z wydawaniem gazetki wiązała się konieczność cenzurowania każdego wydanego numeru pisemka, gdyż takie były przepisy dotyczące wszelkich publikacji. Jednak i tę dolegliwość staraniem dyrektora udało się ominąć, uzyskując na stałe zwolnienie od cenzury – inaczej należałoby za każdym razem udawać się do krakowskiej delegatury Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk.

W „Dziejach Szkoły” istnieje informacja pod datą 1977 r. o medalach i odznaczeniach, jakie otrzymali nauczyciele naszej placówki. Okazuje się, że w okresie pięciu lat, tylko w tej jednej szkole odznaczono około pięćdziesięciu osób. A były to Srebrne i Złote Krzyże Zasługi, Medale Komisji Edukacji Narodowej, Nagrody Ministra itp. Z braku innych form gratyfikacji starano się w ten sposób wyróżnić osoby szczególnie zasłużone. Wskazuje to na wysokiej klasy kadrę nauczycielską, a więc i takież poziom dydaktyczny szkoły.

Przy okazji warto dodać, że jeden z najważniejszych medali, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski otrzymał również woźny szkolny, popularny w całej dzielnicy p. Tadeusz Panuś, będący równocześnie przewodniczącym sekcji pracowników obsługi szkoły przy Zarządzie Głównym Związku Nauczycielstwa Polskiego.

W roku szkolnym 1977/1978 w naszej szkole, jako pierwszej podstawówce w Krakowie, wprowadzono nieobowiązkową naukę języka angielskiego w kl. II, opłacaną przez Komitet Rodzicielski.

Nie byłoby w tym nic szczególnego, gdyby nie fakt, że w owych czasach programowo unikano nauki języków zachodnioeuropejskich na tym poziomie edukacji, a „jedynie słuszną” była nauka języka rosyjskiego. Rok później język angielski ponadto wprowadzono na tych samych zasadach od kl. V-tej. W następnym roku szkolnym włączono go już do obowiązującego programu nauczania, a więc zajęcia te opłacane zostały z budżetu państwa.

„W roku 1979, w 72. rocznicę śmierci dr. H. Jordana została wmurowana w frontową ścianę budynku szkolnego tablica pamiątkowa poświęcona patronowi szkoły. Pomysłodawcą i fundatorem wszystkich materiałów z jakich została wykonana był p. Leszek Kustowski. Projekt wykonał artysta plastyk Andrzej Żurawski, odlew z mosiądzu – Jan Skalski (odlewnik z Wawrzeńczyc), montaż liter i wizerunku Jordana – Leszek Kustowski. Ten ostatni był równocześnie fundatorem tablicy, w tym wszystkich materiałów, z jakich została wykonana.”

Cytowany powyżej tekst z „Dziejów Szkoły” znalazł swój ciąg dalszy opowiedziany przez dyrektora Stanisława Srokę. Przy całej powadze tego wydarzenia nie sposób, po latach, nie dostrzec specyficznego znaku czasu jaki towarzyszył temu przedsięwzięciu. Dziś po prostu wykonawstwo zleca się i odbiera od wykonawcy gotowy produkt, a wtedy była to suma pracy zbiorowej wielu osób, gdy o każdego specjalistę w danej dziedzinie, o każdy rodzaj materiału, (który należało najczęściej samemu dostarczyć) zabiegać trzeba było indywidualnie, pokonując piętrzące się trudności, a potem łączyć uzyskane efekty tych zabiegów w pożądaną całość.

Takie to były czasy.



Ciekawy materiał ze swoich wspomnień wniósł p. **Leszek Kustowski** – przez krótki okres tutejszy nauczyciel, ale przede wszystkim rodzic działający z wielkim oddaniem na rzecz szkoły, v-ce przewodniczący Komitetu Rodzicielskiego, a także współzałożyciel szkolnego harcerstwa. Jednym z najważniejszych jego dokonań było ufundowanie tablicy pamiątkowej z wizerunkiem patrona szkoły dr. Henryka Jordana (o czym mowa wyżej). Co ciekawe, kontynuację jego działań przejął wiele lat później mąż jego córki, p. Marek Kordylewski – przewodniczący Rady Rodziców od 1 IX 2008 r. – do dziś. Zarówno dzieci rodziny Kustowskich, jak i dzieci rodziny Kordylewskich były lub są aktualnie uczniami naszej szkoły. Opowiedziane przez p. L. Kustowskiego szczegóły też znalazły się w drugiej, poprawionej edycji „Dziejów Szkoły”.



Bardzo wiele rodzin pokoleniowo związanych jest z naszą placówką. I to nie tylko tych, mieszkających w rejonie administracyjnym. Bywało, że nauki pobierał tu dziadek, syn i wnuk. Przeprowadzka z naszej dzielnicy młodszego pokolenia niekoniecznie powodowała zmianę szkoły. Widoczne są również pokoleniowe i rodzinne związki nauczycieli z tą szkołą.

W „Dziejach Szkoły” pod datą 1964 istnieje wzmianka o lekarzu szkolnym Kazimierzu Krawczyku, mężu nauczycielki nauczania początkowego **Apolonii Krawczyk**. Sama pani Apolonia zasługuje również na szczególną uwagę. Skądinąd znana z wyjątkowego talentu dydaktycznego i wychowawczego jest żywym potwierdzeniem wyżej przytoczonych spostrzeżeń.

Ojciec jej był nauczycielem języka polskiego i historii w szkole 31 (późniejszym wizytatorem szkół średnich w Kuratorium Oświaty). Uczniem szkoły został syn Państwa Krawczyków – Ryszard, dziś pracownik naukowy Wydziału Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Sama Pani Apolonia nie mogła do tej szkoły uczęszczać, bo w latach jej dzieciństwa była to szkoła wyłącznie męska. Jednak po zdobyciu wykształcenia pedagogicznego zaczęła w niej pracować. Szkole pozostała wierna przez całe swoje życie zawodowe i stąd po przepracowaniu ponad trzydziestu lat przeszła na emeryturę.

Kolejnym przykładem ciągłości, ale też i pewnej wierności szkole, jest osoba samej, obecnej dyrektor szkoły p. **Agaty Wosińskiej**. Tutaj zaczynała swoją podstawową edukację. Po podjęciu studiów w Uniwersytecie Pedagogicznym, w SP 31 odbywała praktyki studenckie, by po uzyskaniu dyplomu magisterskiego rozpocząć pracę zawodową jako nauczyciel nauczania zintegrowanego. W roku 2010 wygrała konkurs na dyrektora szkoły i objęła to stanowisko od 1 IX tegoż roku. „Po drodze” niejako, jej dzieci były uczniami naszej szkoły, a nawet brat stał się członkiem tej społeczności, obejmując na pewien czas funkcję nauczyciela matematyki.

Takie związki nie są bez znaczenia. Wyznaczają pewien szlak, po którym warto wędrować. Jest to przykład pewnego ładu i stabilizacji, do której chyba zmierza

większość z nas. Szlak, po którym wędrują ludzie pozostawiający swoje trwałe ślady, tworząc więzi jednoczące ich z innymi, dając namacalny dowód trwania.



Już po napisaniu „Dziejów Szkoły”, wertując jeszcze raz Kronikę znalazłam taką oto notatkę: *Dnia 19 stycznia (1936 r.) zmarł śp. dr Bolesław Komorowski znany i zasłużony lekarz miejski krakowski, wielki opiekun biednych. Mieszkał od lat kilkudziesięciu niedaleko tutejszej szkoły na Półwsiu Zwierzynieckim przy ul. Lelewela Borelowskiego. (...) Był szczerym przyjacielem tutejszej szkoły, młodzieży i nauczycielstwa. Jego pogrzeb w dniu 23 stycznia był olbrzymią manifestacją żałobną tysięcznych tłumów. Dla uczczenia pamięci o tym wielkim przyjacielu biedaków ma być nazwana jego nazwiskiem jedna z nowych ulic na Półwsiu Zwierzynieckim (boczna Kościuszki).*

I tak się też stało. Niezależnie od tego, że była to postać ze wszech miar zasługująca na wielki szacunek i wieczną o niej pamięć, wspomnienie o tym niezwykłym lekarzu zamieściłam także dlatego, że rodzina Komorowskich została również jakby przypisana na całe pokolenia tej szkole. Przy ulicy Lelewela Borelowskiego potomkowie doktora mieszkają do dziś, a jej członkowie kończyli niezmiennie Szkołę Podstawową nr 31. Kolejna z rodu, Anna de domo Komorowska kontynuuje tradycje zawodu lekarskiego, a jej dzieciaki aktualnie „zaliczają” poszczególne lata w szkole przy B. Prusa.



Szkoła 31 odznaczała się jeszcze jedną cechą. Przypadkowo, czy nie, była początkiem drogi ludzi, którzy pracując w niej jako nauczyciele, osiągnęli awanse zawodowe na wyższych szczeblach oświaty i nauki, a także w innych dziedzinach. Począwszy od wymienionego wyżej nauczyciela języka polskiego i historii, ojca p. Apolonii Krawczyk, poprzez cały szereg osób, które prosto z SP 31 trafiały na wyższe stanowiska administracji oświatowej, czy nawet kuratorów oświaty (Mieczysław Noworyta, Bolesław Pasznicki, Danuta Noszka-Leśniewska). Zdarzył się też nieprzypadkowy przypadek powołania na stanowisko v-ce prezydenta miasta Krakowa Barbary Guzik – nauczycielki języka polskiego.

Mury szkoły opuścili przyszli dziennikarze: Mieczysław Czuma – zagorzały „krakauer”, wieloletni redaktor naczelny „Przekroju”, bracia Michał i Andrzej Koziołowie – znani piewcy starego Krakowa, jego tradycji i historii, ten drugi, Andrzej, redaktor i b. sekretarz redakcji „Dziennika Polskiego”, artyści: Aleksander „Makino” Kobyliński – bard zwierzyniecki, miłośnik folkloru lokalnego, wyśpiewujący na estradach ballady m.in. do tekstów Jerzego Harasymowicza, Stanisław Szymański (1930 –1999) – światowej sławy tancerz klasyczny, filmowcy: Jan Włodarczyk – asystent reżysera, kierownik produkcji i koproducent ponad 50 filmów od „Popiołu i diamentu”, poprzez „Na srebrnym globie” do „U Pana Boga

za miedzą”, muzycy: Jacek Targosz – kompozytor, wykładowca, dziekan i prodziekan Krakowskiej Akademii Muzycznej, Rafał Marchewczyk – dyrygent chóru Krakowskiej Młodej Filharmonii. Ostatni z wymienionych to członek znanej rodziny Marchewczyków, brat znakomitego lekarza ortopedy Jacka i dziennikarza Wojciecha, syn sławnego niegdyś hokeisty Czesława, reprezentanta polski i utytułowanego olimpijczyka.

Jeśli już o sporcie mowa, to w szkole przy Prusa uczyły się takie sławy polskiego sportu jak: Ludomir Chronowski – srebrny medalista w szpadzie na Olimpiadzie w Moskwie (1980), Radosław Zawrotniak również srebrny medalista w konkurencji drużynowej w szpadzie na Olimpiadzie w Pekinie (2008) oraz zdobywca indywidualnie IV miejsca w tejże Olimpiadzie, a później rozlicznych medali m.in. III-go miejsca w Pucharze Świata 2012 we włoskim Legnano. Młodziutki 18-letni mistrz w pływaniu Mateusz Wysoczyński, do Szkoły Podstawowej nr 31chodził tylko trzy lata, ale tutaj zakosztował pierwszych rozkoszy kontaktu z basenem. A pierwszą zwycięską walkę stoczył o... przeniesienie do szkoły sportowej, gdzie w dużo szerszym zakresie mógł uprawiać umiłowaną dziedzinę sportu. Już teraz może poszczycić się niewiarygodną ilością medali (ponad 300) i odznaczeń (ponad 40). Zdobył tytuł mistrza Polski juniorów, złote medale w wielomeczach 2008, 2009 i v-ce mistrzostwo Europy (2011).



Ludomir Chronowski



Radosław Zawrotniak



Mateusz Wysoczyński

To tylko niektóre z postaci, które wyłoniły się z posiadanych dokumentów. Można zaryzykować twierdzenie, że wielu osób tu jednak brakuje.



Jako jeden z pierwszych odezwał się do autora „Dziejów Szkoły” p. **Henryk Szymański**. Rocznik przedwojenny, odnotowany w dokumentach szkolnych w ostatnim roku przed wybuchem wojny (arkusze ocen 1938/1939, str. 195). Ciekawa postać. Dziś jest na emeryturze.

Posiada wyższe wykształcenie ekonomiczne, ale z pasją humanisty zajmuje się pisaniem kroniki rodzinnej, o bardzo rozległych i daleko w głąb czasu sięgających korzeniach. Z podziwu godną wytrwałością poszukuje dowodów na tożsamość członków rodu w parafiach, gminach, urzędach w kraju i za granicą. Równocześnie w pięknym stylu opisuje dzieje poszczególnych osób, ich przypadłości i cechy charakterystyczne, interesujące przypadki i zdarzenia. Z jego wielotomowego dzieła i za jego zgodą pozwolę sobie zamieścić fragmenty dotyczące naszej szkoły oraz te, które tworzyły – z wielką wrażliwością opisany – niepowtarzalny klimat tamtych lat.

Rodzina Mieczysława i Marty Szymańskich¹

Otrzymałem świadectwo ukończenia drugiej klasy szkoły powszechnej i tym samym promocję do klasy trzeciej. Tę, i następne klasy miałem ukończyć już w Krakowie, mieście moich, półrocznych niemal, marzeń.

Calej podróży do Krakowa już nie pamiętam. Pamiętam natomiast przyjazd do nowego mieszkania. Mieściło się przy ulicy Pędzichów 17 na drugim piętrze. Pierwsze wspomnienie, to ogromny, pusty pokój, w którym, na podłodze ustawione były cynowe żołnierzyki, w tym kilku rycerzy na koniach. Konie były na kółkach ze sprężynami. Konie, ustawione na niewielkiej pochylni z płytkami, poprzecznymi i wypukłymi paskami, zjeżdżały w dół, kołysząc się, a rycerskie miecze, uniesione w górę, cięły powietrze niby prawdziwe. Byłem urzeczony i zapomniałem o pozostałym świecie. Siostry zobaczyłem dopiero przy kolacji – wcześniej spały po podróży. Też dostały piękne zabawki: wózek z lalką, mebelki, a wspólnie otrzymaliśmy gry. Było domino, jakaś kolorowa plansza z pionkami i kostkami do gry i piękne karty do gry w „Czarnego Piotrusia”. Było to bardzo mądre ze strony rodziców, gdyż w ten sposób nasze marzenia o Krakowie w nader prosty sposób, spełniły się natychmiast. Przyjechaliśmy w czerwcu, zaczynając nowe życie u progu wakacji. (...)



W sierpniu zostałem zapisany do III-ej klasy szkoły podstawowej. Szkoła nosząca imię Świętego Jana Kantego, mieściła się przy ulicy Smoleńsk naprzeciw Klasztoru SS Felicjanek. W tej szkole nie czułem się dobrze. Byłem „nowy” i z początku nieakceptowany przez resztę kolegów. Przeszkadzał mi głównie inny akcent – wielkopolsko-śląski, często wyśmiewany i przedrzeźniany.

¹ Rodzice b. ucznia (przypis red.).

Zdarzył się jednak dzień, w którym zdołałem zdobyć przychylność części moich kolegów, przychylność i nic więcej. Było to tak. W naszej klasie był pewien dryblas, starszy, bo repetent, który lubił okazywać swą przewagę fizyczną młodszym i słabszym. Miał zwyczaj z całej siły walić drewnianym piórnikiem tych, którzy przechylając się przez ławkę wystawiali swe tyłki do góry. Mnie też się kiedyś oberwało, ale chłopak ten nie czekał, tylko uciekał natychmiast. Zdarzyło się, że stałem blisko niego, gdy podniósł rękę z piórnikiem, ale nie zdążył opuścić, gdy wytrąciłem mu z ręki. Złapałem piórnik i gdy rzucił się na mnie oberwał tym piórnikiem w łeb. Krew pociekła, podniósł lament. Właśnie wtedy zaczynała się w naszej klasie lekcja wychowawcza. Weszła pani wychowawczyni i delikwent oskarżył mnie o napad. I tu stał się „cud”. Wszyscy moi koledzy, którzy byli świadkami tego zdarzenia, stanęli za mną. Pani, ówczesnym obyczajem urządziła sąd i – po przesłuchaniu świadków – wydała wyrok. Wykonał go na tym dryblasie chłopiec, który miał zostać uderzony piórnikiem, ja zaś miałem liczyć razy i dać sygnał zaprzestania chłosty. Do chłosty była przygotowana trzcinka, trzymana w szafce katedry. Nie znałem się na wychowaniu chłopców i nie zastanawiałem się nad tym, tym bardziej, że w poprzednich klasach w Katowicach i Będzinie takie trzcinki też były w użyciu. Sprawiedliwości stało się zadość i wszyscy koledzy razem ze mną byli zadowoleni. Pomogło. Dryblas przestał znęcać się nad innymi.

Jak było w następnej klasie, nie wiem, gdyż na szczęście, poszedłem do innej szkoły, gdzie przeżyłem moje najpiękniejsze – chłopięce – lata. (...) były to lata, w których czułem się bardzo szczęśliwy. (...)



Przeprowadziliśmy się do nowego, bardziej obszernego i komfortowego mieszkania przy ulicy Słonecznej (która po II-jej Wojnie Światowej do dnia dzisiejszego nosi imię Bolesława Prusa). Jeszcze obecnie, tj. w roku 2006 na kamienicy 1 lub 3 widnieje niebieska tablica z napisem „ulica Słoneczna”. To rzeczywiście były dla mnie – i pewnie dla całej naszej piątki, lata słoneczne. Przepisano mnie do nowej szkoły przy tej samej ulicy, która nosiła, i do dzisiaj nosi imię Dr. Henryka Jordana.

W kamienicy obok mieścił się niewielki sklepik spożywczy, w którym robiliśmy zakupy. Byłem na tyle duży i odpowiedzialny, że mamusia często posyłała mnie do tego sklepiku. „Pobiegnij szybko do pana Dudka i kup masło!”. Masło stało na ladzie. Był to ogromny blok, który pan Dudek kroił cięciwą łuku. Ojciec miał z nim umowę. Każdego pierwszego wypłacał panu Dudkowi 20 złotych do rozliczenia a w ciągu miesiąca braliśmy towar bez gotówki. Pierwszego ojciec wyrównywał rachunek i znów wpłacał następne 20 złotych do rozliczenia. Mielśmy też u pana Dudka specjalne względy. Na Święta Bożego Narodzenia i Wielkanoc pan Dudek posyłał nam przez chłopca koszyczek z różnościami – delikatesami.

Mieszkaliśmy w domu nr 9 na parterze, a do szkoły miałem, idąc spokojnie, jakieś trzy minuty. Do szkoły jednak zawsze pędziłem biegiem. Tak się jakoś składało, że wpadałem do klasy tuż przed dzwonkiem. Co to był za dzwonek?! Dzwon najprawdźwiwszy wielkości dużego moździerza na rękojeści, którego dźwięk słyszany był daleko – chodziły słuchy, że aż na Wawelu. Tak sobie czasem opowiadaliśmy w czasie pobytów w naszych wigwamach czy innych saloonach. Gdyby ktoś, widząc mnie pędzącego do szkoły (wracałem zawsze wolno, jakby z lekkim ociąganiem) powiedział, że nie chcę się spóźnić, miał by tylko w połowie rację. Drugą połowę tej racji stanowił fakt, że ta szkoła była jakby powrotem do czasów, kiedy byłem szczęśliwy w I-szej klasie w Katowicach. A oprócz tego – dla kontrastu – po koszarze II-ej klasy w Będzinie i nieprzyjemnej dla mnie III klasie w szkole im. Św. Jana Kantego przy ulicy Smoleńsk.

Niemal od początku nowego roku szkolnego, siedziałem w pierwszym rzędzie w ławce z lewej strony klasy (patrzac w kierunku katedry) z nowym kolegą, Stasiem Łukiewiczem, z którym bardzo się zaprzyjaźniłem. Za nami siedział Andrzejewski (imienia nie pamiętam) i Tomek Sacha zwany „Sapcio”. To była nasza paczka – czwórka – do której doszedł później piąty kolega – Cerkaski – też imienia nie pamiętam.

Do naszej czwórki Cerkaski doszedł w wyniku pojedynku na szable. W szkole jednym z przedmiotów były zajęcia praktyczne i w czasie tych zajęć m. in. wystrugaliśmy sobie z drewna szable. Pewnego dnia Staszek Łukiewicz podszedł do mnie i zapytał, czy mógłbym go zastąpić w pojedynku z Cerkaskim. Nie pamiętam o co im poszło. Staś był mały i wąty, Cerkaski, podobnie jak ja, był osiłkiem, i Staszek nie miał żadnych szans. Poszliśmy razem do Tomka Saptia, który był ekspertem od spraw honorowych. Nie tylko tych zwykłych spraw, ale również wyrocznią w sprawach indiańsko-kowbojskich, detektywistycznych i tym podobnych. Znał niemal na pamięć „całego” Karola Maya i czytał periodyk dla dorosłych pt. „Tajny Detektyw” (gdyby jego ojciec wiedział!) a to się liczyło! Ekspert długo się namyślał i wreszcie wydał wyrok, że sprawa jest do załatwienia. Trzeba pójść do Cerkaskiego i zapytać o zgodę, przedstawiając jednocześnie uzasadnienie, że niegodne by było bić słabszego. Sprawa została załatwiona pomyślnie i pewnego popołudnia obaj stanęliśmy naprzeciw siebie dzierżąc szable w dłoniach. Tłukliśmy się zapamiętale, siniaków przybywało, gdy nagle Cerkaskiemu pękła szable. Sekundanci nie byli głupi i orzekli, że widocznie Bóg tak chciał, iż byśmy się nie zatłukli na śmierć. Orzekli, że honorowi stało się zadość, stawaliśmy obaj dzielnie i mamy sobie podać ręce. Tak się stało. Na kolejnych zajęciach wystrugaliśmy Cerkaskiemu (Cerata – w gronie najbliższych) nową szablę, którą Ceracie uroczyście wręczyliśmy proponując jednocześnie przystąpienie do naszej paczki. Zaproszenie zostało przyjęte. Sprawa się w szkole rozniosła



i nosiliśmy się z niejaką dumą. Dowiedziała się o tym mamusia Andrzejewskiego i zaprosiła całą naszą piątkę na lody. Takich lodów jeszcze nie jadłem. Domowe lody cytrynowe najpyszniejsze na świecie. Było i ciasto, czekolada i muzyka. A jak pani domu była ubrana! Patrzyliśmy jak na obrazek. Mianowaliśmy ją „Damą”.

Nasza 5-ka spotykała się bardzo często – wszyscy mieszkaliśmy blisko siebie. Ja, Andrzejewski i Sacha przy ul. Słonecznej, Cerkaski i Łukiewicz w blokach nauczycielskich², położonych w głębi, za skwerem i tuż za naszą szkołą. Za blokami, w kierunku Rudawy, rozciągała się nieprzebyta dżungla zarośli złożonych z malin, jeżyn, polnych różyczek, tarniny, ostów, pokrzyw i przeróżnych polnych chwastów. W ten gąszcz nikt z dorosłych z jako-tako zdrowym umysłem nie zapuszczał się. My mieliśmy tę przewagę, że nie byliśmy dorośli, a umysły nasze, chwała Bogu, dopiero zaczęły się rozwijać. Poza tym, nasze drobne i zwinne ponad miarę cielesne powłoki umiały wleźć w każdą, na pierwszy rzut oka niewidoczną dla laika, dziurę. Mieliśmy tam warunki, jakie mógł mieć 200 lat wcześniejszy Duch Puszczy, Dżibennosah (czy ja to poprawnie napisałem?) i inne późniejsze Winnetou’y. W tym miejscu, obejmującym przestrzeń około 300 × 400 m z wybiegiem przy Rudawie na Błonia (zastępującymi prerię) mieliśmy wszystko, czego Indianie, kowboje, traperzy, wojowie, rycerze, Krzyżacy potrzebowali: wigwamy, pale, saloony, chaty, zamki i inne budowle w razie nagłej potrzeby klecone na prędcę, czy też w braku czasu wyobrażane właśnie w naszych niedojrzałych ale giętkich i fantazyjnych umysłach. Gdy powstawało jakieś „zapotrzebowanie” na bitwę, np. polscy i litewscy woje oraz Krzyżacy, przynależność do danej grupy rozstrzygały kostki do gry. Inaczej nie można było dojść do porozumienia – nikt nie chciał być Krzyżakiem z dwóch powodów. Po pierwsze decydowała wrogość. Bardzo silna, odziedziczona po przodkach a nam przekazana bezpośrednio przez dziadków i rodziców. Po drugie Krzyżak musiał być pokonany, a nikt z nas nie chciał oberwać nawet na niby.

Jeden raz tylko – w ciągu kilku lat istnienia naszej paczki – powstała sytuacja grożąca rozejściem się. Chodziło o Napoleona. Mieliśmy iść na Moskwę. Każdy chciał być Napoleonem, a pięciu być nie mogło. Jeden z nas, chyba Cerata, zaproponował, że może ustąpić i zostać księciem Poniatowskim. Ponieważ propozycja była jego, jako pierwszego, nikt nie mógł mu tej „godności” odebrać. Patrzeliliśmy na niego z podziwem i zazdrością. To jednak nie wystarczyło i skończyło się na „zwykłych” potyczkach indiańsko-kowbojskich.

W samej szkole nasza piątka, i nie tylko my, miała wśród nauczycielskiego grona dwie postacie, które cieszyły się wśród uczniów specjalnymi względami. Był to pan Dyrektor – Józef Robak – wysoki, szczupły, o bujnej, bielusińskiej czuprynie i wiecznym, dobrotliwym uśmiechu. Pojawiał się często na boisku szkolnym w czasie dużej pauzy (przerwie). Natychmiast był otaczany przez wszystkich, zwady ustawały, przerywano nawet gry w „zośkę”. Nigdy nie podnosił głosu, wystarczyło wymowne spojrzenie. Był uwielbiany. Do jednego zagadał, innego pogłaskał po czuprynce, czasem coś powiedział na nasze prośby.

² Prawdopodobnie chodzi o bloki ZUS, które ta instytucja wybudowała przed wojną dla swoich pracowników (przyp. red.).

We wrześniu 1938 mianowano nowego dyrektora a pan Józef Robak został zastępcą. Nowy dyrektor był jakby bojkotowany, niezauważany przez uczniów. Pamiętam go jako niższego od pana Robaka mężczyznę, w szarym ubraniu, o kamiennej, bez uśmiechu twarzy.

Drugim „idolem” uczniów był pan nauczyciel, nasz wychowawca, Jan Ślusarczyk. Jeśli dobrze pamiętam, uczył nas matematyki. Spokojny, opanowany, też nie podnosił głosu. Ja czułem się przy nim bezpiecznie. Wiedziałem, że gdybym miał kłopoty, to pomoże bez gniewu i cierpliwie wytłumaczy wszystkim i każdemu z osobna. Gdy zdawałem egzamin wstępny do gimnazjum – był to maj 1939 r. a egzaminy odbywały się w szkole przy ulicy Studenckiej – spacerowałem poważnie z założonymi do tyłu rękami po korytarzu czekając na wezwanie, podszedł do mnie, objął mnie i powiedział, abym się nie bał, bo jestem dobrze przygotowany. Czekałem dość długo ale poszło rzeczywiście świetnie. Byłem ostatni z jego klasy. Cekał na mnie i pogratulował zdanego egzaminu. Widziałem go wtedy ostatni raz – potem była wojna. Pochowany jest na Cmentarzu Salwatorskim w głównej alei.

Pana Józefa Robaka odwiedziłem raz w jego mieszkaniu w sierpniu 1939. Mieszkał w wysokim budynku na rogu Al. Krasińskiego i ul. Kościuszki, na najwyższym piętrze z oknem na Wawel. Nie pamiętam dlaczego do niego poszedłem.

Bodaj w piątej klasie tego, co dzisiaj nazywa się zajęciami plastycznymi, rysunków i malowania uczyła nas młoda pani. Też była bardzo lubiana. Pamiętam, że kiedyś na lekcji zadała nam temat „Za miastem” – może tytuł brzmiał nieco inaczej. Zapowiedziała, że najlepsze prace zostaną umieszczone na wystawie w osobnej sali, a z nich część będzie wybrana na konkurs ogólno-szkolny. Dostałem, na moją prośbę, duży kartonik i zacząłem malować. Malowałem całą godzinę lekcyjną i po lekcjach też bardzo długo. Mamusia przyszła zapytać, co się stało, a zobaczywszy, pozwoliła mi dokończyć dzieła. Wróciłem na kolację. Namalowałem pola, łąny zbóż, drogę wiejską, w głębi las i oczywiście słońce z promieniami. Wystawiono mój obraz w tej sali... i nic dalej. Skończyłem karierę artystyczną, czym byłem bardzo, bardzo rozczarowany.

Podobnie stało się z muzyką. Mieliśmy tzw. wychowanie muzyczne. Polegało to na tym, że od czasu do czasu przychodziła do nas pani i grała na fortepianie. Nudne to było i nie miało zupełnie powodzenia. Przychodził również regularnie młody pan i uczył śpiewu. To było już bardziej lubiane, śpiewaliśmy te piosenki na wycieczkach i na zbiórkach zuchów. (...)

Napisałem wcześniej, że na zajęciach praktycznych wykonaliśmy sobie szablę z drewna. Na zajęcia te chodziliśmy do warsztatów szkolnych, które mieściły się w piwnicach szkoły przy ulicy Szlak. Mieściła się ta szkoła między ulicami Krowoderską a Łobzowską. Co to była za wyprawa! Szkołka szła za panem wychowawcą przez Błonia, Park Jordana, przez chaszcze, gdzie obecnie stoi budynek Akademii Rolniczej (rosły tam dwa potężne buki), alejami, którymi podobno czasem przejeżdżało jakieś auto, ale najczęściej drabiniaste wozy z zaprzęgiem konnym i wchodziliśmy w ulicę Łobzowską na Szlak. Ostatnia praca, jaką tam wykonałem, to była łamigłówka z grubego drutu. Składała się z dwóch części, które się ze sobą

łączyło a potem rozłączało. Trzeba tylko było wiedzieć, jak? A to było naprawdę trudne. Do wykonania tej pracy miałem do dyspozycji pilę do żelaza, imadło i młotek. Wykonałem to według otrzymanego rysunku. Jakiś gruby jegomość przyszedł kiedyś na te zajęcia i zatrzymał się przy mnie chwilę. Powiedział wtedy do p. Ślusarczyka, że „gdyby ten chłopak chciał, to może przyjść do mnie”.

Życie religijne biegło w ścisłej łączności ze szkołą. Lekcje religii, dla mnie, „ożywiły” się w klasie 6-iej, kiedy zaczęliśmy uczyć się ministrantury. Obce, łacińskie słowa miały dla mnie moc raczej magiczną, czegoś w rodzaju zaklęć, dzięki którym łatwiej będzie wejść do nieba. Wiedziałem już, że łaciny, tak na serio, będę się uczył w gimnazjum. Uczyłem się służyć do mszy z zapalem i już po paru lekcjach miałem u księdza dobre notowania. Do służenia w czasie mszy nie doszło – przeszkodziła wojna.

W każdym razie przynajmniej przed każdym świętem szło się do spowiedzi. Grzechy, aby któregoś nie przeoczyć, spisywaliśmy na kartkach. Po spowiedzi szliśmy na most na Rudawie, darliśmy kartki na strzępy i wrzucaliśmy z mostu do wody. Pewnego razu jednemu z nas cała kartka wypadła z ręki i pofrunęła na brzeg. Spoczęła na trawie. Inny chłopak pędem zbiegł w dół, złapał kartkę i na cały głos zaczął spisane grzechy czytać. Zrobiła się piekielna awantura. Chłopaki się pobiły i powstał problem. Czy obaj mają powtórzyć spowiedź, czy tylko ten, który czytał na głos, zgrzeszył? Nawet Sapcio nie wiedział, jak rozwiązać tę sprawę. Ostatecznie postanowiliśmy, że ten, który czytał, zgrzeszył i powinien pójść ponownie do spowiedzi. Odmówił. Poszedł więc, z własnej woli, ten pokrzywdzony. I dobrze zrobił, bo ksiądz na następnej lekcji religii obniżył drugiemu stopień z zachowania.

Zgodnie z naszą, uczniowską tradycją, w niedzielę, po przyjęciu Komunii Świętej, szliśmy z powagą ulicą Salwatorską do rzeźnika, który miał wtedy sklep otwarty. Sklep mieścił się na rogu ulicy Słonecznej i Salwatorskiej. Wielu z nas – ale nie wszyscy – otrzymywało od rodziców 20 groszy na 2 bułki z szynką. Chociaż mieliśmy do domów bardzo blisko, pokazanie się z bułką z szynką było sprawą ambicji, żeby nie powiedzieć honoru.

U ujścia Rudawy, po drugiej stronie klasztoru Norbertanek, przed wojną istniał budynek, w którym znajdował się zakład wychowawczy dla chłopców, prowadzony przez zakonników – nie pamiętam jakiej reguły (chyba Albertynów). Kilku z tych chłopców chodziło do naszej szkoły. Ubrani byli w jednakowe, jasno brązowe, sztruksowe ubranka.

Na szczęście, żaden z nich nie chodził do mojej klasy. Otóż jeden z tych chłopców miał zwyczaj zaczajać się na półpiętrze – schody na półpiętrze załamywały się pod kątem 180 stopni. Po dzwonku, na tzw. wielką pauzę, tłum chłopców z I-go piętra, rzucał się w dół na łeb, na szyję. Chłopak ten podstawiał nogę z za węgła a delikwent padał na pysk i zjeżdżał po schodach, dodatkowo tratowany przez pędzących. I mnie się trafiło w ten sposób zjechać. Tym razem chłopak był znacznie większy i silniejszy ode mnie, repent. Uciekał w dół i chciał mnie przeskoczyć. Podstawiłem mu – leżąc – nogę. Wpadłem na niego i zacząłem tłuc gdzie popadnie, w końcu ugryzłem go w tyłek,

oszałam z wściekłości. Chłopak przestraszył się i przestał się bronić, tylko krzyczał. Odrywało mnie od niego dwoje – tercjan i kobieta sprzedająca w szkolnym kramiku. Był znów sąd i to przed wychowawcą i dyrektorem Robakiem. Ostatecznie odpuszczono mi, zeznawało bardzo wielu pokrzywdzonych. Po tym zdarzeniu wielu dość brutalnych repetentów, prześladowujących młodszych, omijało mnie z daleka.

Takim brutalnym repetentem był też syn tercjana. Mieszkali w domu na przeciw szkoły. Byłem kiedyś świadkiem działania – jak to się wtedy nazywało?, dzisiaj nazywa się „Komitet Rodzicielski” – pana z takiego komitetu. Syn tercjana szedł ulicą z papierosem w ustach. Idący naprzeciw pan z komitetu trzasnął go na odlew w twarz, strącając papieros. Syn tercjana został ze szkoły usunięty, ale jego ojciec został. Pan w komitecie działał dalej. Nie komentuję.

W szkole organizowano również wycieczki. Trzy z nich utkwily mocno w mojej pamięci. Nasz wychowawca zabrał nas kiedyś do Łasku Wolskiego. Bywaliśmy tam częściej. Tym razem poszliśmy drogą od Przegorzał. Ścieżka prowadziła w górę koło posągu Matki Boskiej, gdzie chwilę zatrzymaliśmy się. Kilkoro z nas podeszło bliżej, a ja z nimi, pomodlić się. Nie pamiętam, jak to było dokładnie, ale w czasie kolejnego odpoczynku, gdzieś w lesie, zaczęliśmy rozmawiać rozważając pomysł, aby w przyszłości, gdy dorośniemy, zostać księdzem. Przy czym każdy z nas twierdził, że Ona się do niego uśmiechnęła. Zapewne jakaś zbiorowa sugestia. Mocno to przeżyłem i odtąd po dzień dzisiejszy często odwiedzam ten zakątek, aczkolwiek z zupełnie innego powodu. To wspomnienia z tamtych lat...

W czasie pisania przypomniałem sobie jeszcze jedną wycieczkę – przyrodniczą. Poszliśmy z naszym wychowawcą ulicą Księcia Józefa nad Wisłą i za Wodociągami skręciliśmy na łąki w lewo. Łąki były częściowo podmokłe, były też niewielkie stawy. Wtedy w trawie zobaczyłem bardzo dużego owada. Dałem znak wychowawcy, który złowił go do pudełka. Był to turkuć-podjadek (jeśli dobrze nazwę zapamiętałem). Zaniósłem go z tryumfem do szkoły i został umieszczony w gabinecie przyrodniczym w małym akwarium. Wychowawca przykleił na akwarium naklejkę z napisem – znalazł Henryk Szymański. Inne doniczki i skrzyneczki z roślinami, owadami na szpilkach, też miały podobne naklejki. To był świetny pomysł wychowawczy, rozbudzający ambicje w dobrym kierunku.

Innym razem poszliśmy z księdzem katechetą. Rozłożyliśmy się na polanie Lea. Wyjąłem kanapkę z szynką i chciałem ugryźć, gdy jeden z chłopców – tych w sztruksowych ubrankach – zwrócił mi surowo uwagę, że dzisiaj jest piątek. Rzeczywiście! Chłopak powiedział, abym mu tę kanapkę dał, gdyż on wie, co trzeba zrobić. Dałem. Zjadł ją i śmiejąc się, odszedł. Byłem wściekły. Z jednej strony dobrze, gdyż uniknąłem grzechu, z drugiej czułem się oszukany, nabity w butelkę. Długo czułem się bardzo głupio!

Trzecia wycieczka była całodniowa – do rezerwatu żubrów w Puszczy Niepołomickiej. Z Niepołomic jechaliśmy wozami drabiniastymi, wymoszczonymi słomą i sianem i umajonymi gałązkami. Była to wycieczka z wielu szkół, męskich i żeńskich. Jechałem

na jednym wozie z naszą paczką, ja obok Staszka. Przed nami jechał wóz z dziewczętami. Obaj naraz zwróciliśmy uwagę na jedną z dziewcząt, czarnowłosą, piękną i wesołą. Zakochaliśmy się również razem. Z matematyki byliśmy już w ułamkach, toteż dla naszych osobistych potrzeb stworzyliśmy oceny piękności dziewcząt. Siedem siódmych to był szczyt piękna. Jedna siódma to był zdecydowany maszkaron. Ta otrzymała od nas najwyższą ocenę. Zrobiliśmy też wywiad, z której ona jest szkoły. Poszliśmy tam w kilka dni później. Wyszła po lekcjach w gronie koleżanek, a nasze awanse przyjęła z drwiącym uśmiechem. W kilka dni później, w niedzielę po kościele, podszedł do nas Sapcio i z powagą zapytał, czy chcemy się czegoś dowiedzieć. Chcieliśmy, bardzo zaciekawieni. Trochę się droczył, wreszcie powiedział, że powie nam, abyśmy dalej w grzechu nie brnęli. Ona jest Żydówką! To już jest grzech. (...) Byliśmy przerażeni i odkochaliśmy się natychmiast. Kto to wymyślił?!

Właśnie! Żydzi a sprawa Polska w ocenie 10 – 13-latka. Do mojej klasy chodził jeden Żydek. Znów zapomniałem imienia, natomiast pamiętam nazwisko – Pisek. Jego ojciec miał gabinet dentystyczny, który mieścił się na I-ym piętrze kamienicy, na rogu Placu Dominikańskiego i ulicy Grodzkiej od strony Pasażu Bielaka. Nie przyjaźniliśmy się, ale utrzymywaliśmy stosunek koleżeński. On był tylko raz w naszym mieszkaniu. Ja u niego wiele razy. Pierwsze odwiedziny u niego bardzo mnie zaskoczyły. Gdy wszedłem do pokoju, sfrunął na mnie jakiś ptaszek i zaczął mnie bić po głowie skrzydłami i dziobem. Potem uciekł na karnisz nad oknem. Był to szczygieł. Obaj mieliśmy zbiory znaczków pocztowych. Wymienialiśmy się nimi nawzajem. Jego rodzice otrzymywali dużo listów z różnych państw, a szczególnie z Konga Belgijskiego. Za jeden znaczek z Konga brał dwa lub trzy inne. Nie rozgłaszałem wśród moich kolegów skąd mam te śliczne znaczki – bardzo mi zazdrościli – i w ten sposób zabezpieczyłem sobie „monopol” na Kongo.

Nie zaprzyjaźniliśmy się zapewne z powodu zbyt dużych różnic w zainteresowaniach. Np. to, co pamiętam: kiedyś zapytał, czy wiem, jaki jest kurs dolara w złotych. Nie wiedziałem, a on z dumą wyrecytował kursy kilku walut obcych. (...) Przestał na ten temat mówić, kiedy zorientował się, że mnie te tematy w ogóle nie interesują. Miał też znacznie większą od mojej, osobistą biblioteczkę. Był bardzo inteligentny, miał najlepsze noty w klasie i na końcu roku szkolnego zawsze odbierał nagrodę. Była to z reguły książka z odpowiednią dedykacją.

Tak to w późniejszych spotkaniach, znacznie rzadszych niż w początkach kolegowania, łączyły nas znaczki i czasem rozmowy-plotki szkolne. Straciłem z nim kontakt w roku 1939 – poszedłem do niego raz w czasie wakacji. Wizytówka na drzwiach istniała jeszcze, ale nikt nie otwierał. Może wyjechali z Polski, może byli gdzieś na wakacjach.

Później, w czasie wojny, miałem nadzieję, że wyjechali z kraju. Coś sobie przypominałem o jego projektach – raczej o projektach jego rodziców – o wyjeździe na południe. Było to, jak sądzę, w czasie naszej rozmowy o zbliżających się wakacjach. Mój ojciec zamierzał wykupić rejs na statku po Morzu Śródziemnym dla siebie i dla mnie (w nagrodę za zdany egzamin do gimnazjum). Ostatecznie zrezygnował. „Wojnę czuć było w powietrzu” – jak mówił i dostałem rower. (...)

Czasem z ojcem szedłem do dzielnicy żydowskiej, na Kazimierz. (...) Dzisiaj nikt nie zdaje sobie sprawy, jak Kazimierz wyglądał. Podcieni przy ulicy Krakowskiej nie było, były zabudowane straganami. Zawsze panował niesłychany harmider, tłok, wszędzie walały się śmieci. Tłum Żydów w czarnych chałatach, czarnych kapeluszach, czasem w lisich czapkach, gęsto przetykany dziećmiakami z pejsami chodził, biegał, gestykulował, krzyczał. Patrzałem na to, jak na jakieś widowisko, ale nie czułem nigdy niechęci. Przyjmowałem, że w tym miejscu jest wprawdzie inaczej, ale zupełnie naturalnie.

Spotkała mnie też przygoda nieprzyjemna. Nie pamiętam z jakiej przyczyny znalazłem się sam na ulicy Agnieszki. Dochodziłem do Plant Dietlowskich, gdy dopadła mnie gromadka Żydków różnego wieku mniejszych i większych ode mnie. Któryś rzucił we mnie kamieniem, a reszta zbliżała się do mnie z wyraźnie złymi zamiarami. Byłem zaskoczony i zdumiony, bo szedłem spokojnie i nic nikomu nie zrobiłem. Zacząłem uciekać. Dobiegłem do Wisły i schroniłem się stając obok robotnika, który układał bruk. Żydzieta dobiegły i stanęły w pobliżu. Coś tam gadali i gestykulowali, wreszcie odeszli. Później uprzytomniłem sobie, że mogli mnie łatwo dogonić, byli przecież wśród nich starsi ode mnie. Może nie chcieli mnie dogonić, tylko przegonić z jakiegoś powodu. Nigdy się tego nie dowiem.



Gdy mieszkaliśmy (...) przy Placu na Stawach, wyszedłem z ojcem wieczorem po ryby. Był przy ulicy Lelewela żydowski sklepik, głównie ze śledziami. Weszliśmy już po godzinie zamknięcia – właściciel nas wpuścił. Gdy ojciec już płacił, wszedł do sklepu policjant. Żydówka momentalnie wyjęła z beczki kilka śledzi, zapakowała i podała policjantowi. Ten nie zapłaciwszy, wyszedł. Potem, znacznie później zrozumiałem, dlaczego nie zapłacił.

Kamienica narożna przy Placu na Stawach i ulicy Stachowicza, w której mieszkaliśmy od roku 1938-go należała do żydowskiego kupca, który w swojej kamienicy miał sklep spożywczy. Kamienica miała typowe podwórko-studnię. Z trzech stron otaczały to podwórko ściany, wysokich na cztery kondygnacje, kamienic, a z czwartej strony wysoki na dwa piętra mur. Podwórko wyłożone było chodnikowymi płytami, a w kącie stała drewniana poręcz do trzepania dywanów. W każdą sobotę schodzili się na tym podwórku Żydzi i jeden z nich zarzynał kury. Czasem niedokładnie i jakaś niedorzęnięta kura fruwała po podwórku (...). Kiedy ojciec (...) wrócił z pracy opowiedziałem, co widziałem. Okno na podwórko ojciec zamknął i zostało na stałe zakryte jakimś suknem przytwierdzonym gwoździami. Było otwierane tylko od czasu do czasu przy wietrzeniu mieszkania. Mnie zobowiązano, abym tego nie opowiadał siostrze. Usłuchałem chyba dlatego, że czułem się zaszczyczony wspólną z rodzicami tajemnicą.

We wrześniu 1939 kupiec odwiedził nas w mieszkaniu i zaproponował rodzicom tanie zakupy żywności u siebie. Nie trzeba było nawet zaraz zapłacić. Pamiętam, jak mówił: E! tam troszke mąke, E! tam troszke kaszke, E! tam troszke cukier, bo ciężkie czasy idą i zapas je dobry.(...)

Obok naszej kamienicy, przy Placu na Stawach była kamienica z karczmą, gdzie, zwłaszcza w dniach targowych, biesiadowali chłopi. Właścicielem tej kamienicy też był Żyd.(...)



Jeszcze wiele lat po wojnie, widniał na jednej z kamienic przy ul. Kościuszki, nad sklepem napis: „Chaja Czarnolewska”. Handlowała otrębami. Zwykle widziałem ją stojącą w wejściu do sklepu. Niska, krępa w peruce na głowie. Tyle na temat „kwestii żydowskiej” w mojej pamięci.

Jak wynika z dotychczasowych wspomnień, w moim wychowaniu uczestniczyli nie tylko rodzice, ale i szkoła, kościół oraz „ulica”. Ekonomii uczył mnie Plac na Stawach. (...)

Szczytowym osiągnięciem był zakup trzech jajek za dwa grosze. Plac na Stawach wyglądał wtedy zupełnie inaczej. Na zakup owoców, warzyw chodziliśmy na pobliski plac Na Stawach. Cały plac to był grunt wybrukowany tylko w części kostką. Patrząc z balkonu naszego mieszkania, po lewej stronie był „parking”, na którym stały wozy drabiniaste z końmi w błocie i kałużach końskiego moczu. Po prawej znajdowały się stragany – nie wiele ich było – oraz jakieś skrzynki lub zgoła szmaty rozłożone bezpośrednio na ziemi. Przy tych szmatach z odrobiną warzyw, nabiału czy owoców siedziały w kucki baby wiejskie, cierpliwie czekając na klienta. Ubogie to było i mój tryumf za dwa grosze (targowałem się, podpatrując innych) mamusia dość ostro skrytykowała. Przekonała mnie na tyle, że już nigdy się nie targowałem. (...)

Wychowanie fizyczne. To główne odbywało się na spotkaniach naszej 5-ki. Tyle wysiłku fizycznego, ile wykazywaliśmy w czasie zabaw na Błoniach, w Parku Jordana, nad Rudawą, w chaszcach i innych karkołomnych zabawach w jedno popołudnie, nie miało miejsca nawet przez tydzień szkolnych ćwiczeń gimnastycznych. W szkole nie wyróżniałem się specjalnie. Dobre wyniki miałem tylko w skokach i biegach na krótki dystans. Ale wielu było lepszych ode mnie. Gdy byłem – bodaj że w 5-iej klasie – ojciec zapisał mnie na naukę pływania w YMCA przy ulicy Krowoderskiej. Lubilem basen... (...) do czasu, gdy omal się nie utopiłem. Basen był w miejscu nauki niezbyt głęboki. Gdy stałem, woda sięgała mi do barku. Skakaliśmy wtedy z brzegu do basenu, a ja skoczyłem tak jakoś, że w wodzie stanąłem na głowie i odbijając się głową od dna jak piłką, w żaden sposób nie mogłem się przewrócić na nogi. Brakowało już tchu, gdy przypadkiem któryś z chłopców skoczył do wody przy mnie i mocno potrącił. Stanąłem łapiąc oddech i słaniając się. Trener siedział na brzegu i gapił się gdzieś w dal – nic nie zauważył. W domu oświadczyłem, że na basen już nie pójde i powiedziałem dłaczego. Następnym razem ojciec wziął mnie ze sobą i na osobności pogadał

z trenerem. Skutek był, jak się zdaje nijaki i chodziłem na basen albo z ojcem albo z mamusią. Siedzieli wtedy na ławkach nad basenem i pilnowali mnie osobiście.

Z rodzicami chodziliśmy dość często do Parku Jordana. Stały tam wtedy dwie drewniane hale, z których w jednej był magazyn rowerów i samochodzików na pedały do wypożyczenia. Jeździliśmy wtedy – ja na rowerku i czasem w samochodziku, a siostry tylko w samochodzikach. Hance to nie bardzo wychodziło, była jeszcze za mała, za słaba. Na Błoniach, przy Alei Focha, stała często karuzela na napęd „chłopięcy”. Na górze była podłoga i promieniście ułożone belki, które pchali chłopcy. Za trzykrotne rundy, otrzymywało się prawo przejechania samemu.

Była to niedziela, zostaliśmy ubrani świątecznie i rodzice wysłali nas na Błonia, gdzie mieli za jakiś czas dołączyć do nas – w programie był spacer do Cichego Kącika na lody. Poszliśmy do Alei, gdzie stała karuzela. Właściciel zaproponował mi interes – będziesz pchał trzy rundy, to pojedziesz następną. Postawiłem inną propozycję. Będę pchał trzy rundy, a pojedą siostry – obie. Zgodził się. W czasie trzeciej rundy nadeszli rodzice. Przeczekali aż runda się skończy. Siostry wsiadły, ojciec dał mi 20 groszy abym też się przejechał. Odmówiłem. Mnie już nie wypadało jechać tak marną karuzelą. Dzień skończył się wyjątkowo przyjemnie – były lody, ciastka, lemoniada, świetne humory, a ojciec i ja dumni. Ojciec ze mnie, a i ja z siebie. (...)

W Krakowie było w tym czasie 6 linii tramwajowych. Autobus miejski pamiętam tylko jeden. Z Cichego Kącika do Woli Justowskiej. Nie jestem pewien gdzie ta linia się kończyła. Był to – w porównaniu do dzisiejszych – autobusik z wejściem z tyłu po schodkach, a siedziało się na ławach ustawionych po bokach i w środku. Bilet kosztował 20 groszy. Najczęstsze wycieczki prowadziły do Łasku Wolskiego, na wzgórze bł. Bronisławy, na Kopiec Kościuszki i na Krzemionki, skałki Twardowskiego do grotty jego imienia i nad Wisłę na „dziką plażę”.

Nad Wisłą biły często naturalne źródła krynicznie czystej wody. A i kąpiel w Wiśle była wtedy przyjemnością. W Rudawie łowiło się raki. Z dalszych wycieczek jednodniowych można wymienić Skalę Kmity i Ojców. Wyprawa do Ojcowa najczęściej odbywała się wynajętą bryczką – ja oczywiście na koźle – z koszem pełnym dobroci wszelakich, hulajnogą, wózkiem z lalkami, kocami i czym tam jeszcze. (...)



Niedaleko, w naszej dzielnicy, było miejsce zabronione. Nie tylko dla mnie (o siostrach już nie mówiąc), ale i dla innych chłopców z naszej dzielnicy. Było to miejsce między Cichym Kąciem, ulicą Reymonta i Piastowską. Stały tam zawsze – jak pamiętam – tabory cygańskie.

Zimą w niedziele, a zimy bywały i mroźne i bardzo śnieżne, mieliśmy bardzo blisko do Alei Washingtona, a pod Kopcem Kościuszki cudowne warunki do saneczkowania. (...) Oczywiście na tę aleję chodziliśmy cały rok – każda pora roku miała tam swoje uroki.

Zwłaszcza zima i wczesna jesień – kasztany. Z kasztanów robiliśmy różności – figurki ludzi i zwierząt, często wisiały jako ozdoby na choince.

Boże Narodzenie! Od św. Mikołaja zaczynały się w domu wspólne prace nad ozdobami choinkowymi. Na choince wisiały nie tylko cukierki, czekoladki i bańki, ale najwięcej ozdób z kolorowego papieru. Kupowało się zeszyciki z różnokolorowymi papierami i tworzyło z nich czasem małe dzieła sztuki; łańcuchy, koszyczki, bombki, jeże i inne. (...)

Jakieś chyba bardziej radosne były Święta Wielkanocne. Być może dla nas, dzieci, związane to było z wiosną, dłuższym dniem i takimi atrakcjami jak święcenie potraw w koszyczku, Emaus na Zwierzyńcu czy „Rękawka” w Podgórzu. Święcenie potraw odbywało się na dziedzińcu klasztoru Norbertanek. Wkoło pod ścianami stali wierni z koszykami – bywały też ogromne kosze – i koszyczkami, a ksiądz wchodził w ten okrąg i kropił z uśmiechem, czasem zbyt gorliwie. Chyba wiedział kogo „kropnąć” mocniej. My, chłopcy, po wielkanocnej spowiedzi zmienialiśmy się wtedy w aniołki. Bardzo, ale to naprawdę bardzo uważaliśmy na siebie, aby nie popełnić jakiegoś grzechu, bo wtedy święta na nic. Powtórna spowiedź, pokuta itd. Po świętach było już „normalnie”. (...)

Odpust Emaus. Od połowy ulicy Zwierzyńskiej do mostu na Rudawie rozciągały się stragany z wyłożone dziecięcymi marzeniami z drewna, metalu, szkła, fajansu a nawet porcelany, szmatek, słodczy bardzo kolorowych i tym bardziej pożądanych. Chociaż i dla dorosłych były pierniki w kształcie serduszka z imieniem ukocha-nej/ego, „złote” pierścionki z „brylantami”, masy rozkosznej tandety, którą jedni traktowali poważnie, a inni z sentymentalnym uśmiechem. Rzeczywiście dla każdego coś milego. Do tego działały rozmaite huśtawki, karuzele. Harmider był nie byle jaki. Chłopcy strzelali z drewnianych pistoletów korkami uwiązany sznurkiem do lufy, gwizdali na kogucikach, trąbili na różnego rodzaju trąbkach, bębnił na blaszanych bębenkach, zwyczajnie wrzeszczeli, grały kapele, kataryniarze, pianole w karuzelach. No i lała się woda. Trzeba jednak przyznać, że bez przesady. (...)



Autor i źródło: Radosław Nowak.
<http://commons.wikimedia.org/wiki/User:RaNo>

Wspomnę jeszcze o mojej prenumeracie „Płomyczka” (...) W porównaniu do współczesnych czasopism dziecięcych, jakież to było ubogie! Czytane jednak z ogromnym zaangażowaniem i ciekawością i oczekiwane z niecierpliwością. Czytałem też, w szóstej klasie, przeznaczony dla starszych dzieci, „Płomyk”. (...)

A jakie było miejsce Polski w tym małym chłopięcym świątku? O wychowaniu w ogóle, jak i o patriotyzmie wspominałem już kilkakrotnie. Teraz opiszę to nieco szerzej. Powiedziałem wcześniej, że noszenie mundurka było dla nas honorem, nie dla

wszystkich dostępnym. Jeszcze większym zaszczytem było noszenie mundurka harcerskiego. Ja nosiłem mundurek od czasu, gdy zostałem zuchem. Stało się to gdzieś w połowie IV klasy.

Budowa Kopca Marszałka Piłsudskiego już się rozpoczęła i koledzy, którzy należeli do harcerstwa zapytali mnie, czy pójdę z nimi budować kopiec. Chciałem, i to bardzo. Po kilku dniach miałem mundurek i maszerowałem z innymi. Było cudownie! Musztra, zawody sprawnościowe, ogniska, podchody – tu już miałem jaką taką wprawę – wycieczki z plecakiem.



Źródło: 2004 – 2012 © KRFOTO Paweł Krzan na http://krakow4u.pl/inne/kopce/html_foto/pilsudsk_005.html

Święta narodowe... Nikt nas nie zapędzał na pochody 3-Majowe, niepodległościowe. Sami się napraszaaliśmy! Na budowę Kopca Marszałka chodziłem wielokrotnie też w „cywilu” z rodzicami, z ciocią Stefanią i raz z wujkiem Bronkiem i jego chłopcami, gdy przyjechali do Krakowa. (...)

W roku 1938, a może 1939 odbyła się na Błoniach defilada wojskowa – chyba z okazji Święta 3-go Maja. Spotkał mnie wielki zaszczyt. Zostałem wybrany do trzymania warty honorowej przed trybuną, na której defiladę odbierał Marszałek Śmigły-Rydz. W domu był popłoch, gdyż w ostatniej chwili gdzieś zapodziały się białe rękawiczki. Biegaliśmy po znajomych, aby pożyczyć – sklepy były pozamykane. Udało się i ledwie zdążyłem stawić się na zbiórkę. Kilkakrotnie sprawdzano mój wygląd oraz moją wiedzę co do zachowania się przy zmianie warty i w czasie jej trwania. Przeszedłem to wszystko zwycięsko.

W czasie trwania mojej warty zdarzył się wypadek. Trybuna stała przy al. Focha, a defilujący przechodzili niedaleko deptaku przy Alei 3-go Maja. W pewnym momencie konie ciągnące galopem działo przewróciły się. Działo z rozpędu wpadło na konie. Straszliwy ryk i kwik koni nappełnił mnie przerażeniem. Wytrzymałem to jednak nieruchomo na baczność. Dobrze, że to stało się w dość dużym oddaleniu i tej masakry dokładnie widać nie było!

Zmiany wart wśród nas, chłopców, były częste. Nie dlatego, że były dla maluchów uciążliwe, ale dlatego, że chętnych było znacznie więcej, niż możliwości. Każdy chciał. Blisko trybuny przy namiocie z czerwonym krzyżem stały harcerki w szarych mundurkach. Nie wytrzymałem i po zmianie podszedłem do nich. (...) Dostałem szklankę lemoniady i ciastko. One były znacznie starsze, więc dziękując za gościnę, wymieniliśmy uśmiechy i odmeldowałem się przepisowo. Do dzisiaj mam sentyment do szarych spódniczek.

W 1939 roku, był to maj lub czerwiec, w szkole wybuchła awantura. Był w naszej klasie chłopiec nazwiskiem Juda (dziwne nazwisko), niczym się specjalnie nie wyróżniający, ale pewna różnica była. Nie chodził do kościoła, ani na uroczystości z okazji świąt kościelnych czy państwowych – uprzytomniłem sobie dokładnie dopiero w czasie awantury. W czasie dużej pauzy na boisku rozległy się krzyki. Podbiegłem zobaczyć, co się dzieje. Grupa chłopców otaczała tego Judę, wrzeszcząc z oburzeniem. Ten stał patrząc z pode łba. Zapytałem o co chodzi. Okazało się, że w czasie jakiejś dyskusji – nie pamiętam o czym – Juda powiedział, że „waszą Polskę niedługo szlag trafi”!!! Okazało się, że jest Ukraińcem, a do kościoła nie chodził, tylko do cerkwi (widocznie gdzieś była w Krakowie). Zebrał się sąd koleżeński pod przewodnictwem Cerkaskiego. Judzie przedstawiono ultimatum: albo zostanie relegowany ze szkoły albo wpłaci 10 zł na FON³. Zapłacił. Był do końca roku bojkotowany przez kolegów. Zemścił się na mnie – przypadkiem. Były już wakacje, a ja wracałem z kościoła do domu przez Plac na Stawach. Przystanąłem na placu na chwilę i nagle poczułem uderzenie w oko. Kilkanaście metrów ode mnie stał Juda z procą w ręce. Popatrzył na mnie przez chwilę, zaśmiał się i uciekł. Poszedłem do domu. Oko na szczęście, ocalało, okulista założył opatrunek. Zostało jednak przez kilka lat jakieś mimowolne mruganie. Niezależnie od tego coś w rodzaju wrogości, ugruntowanej później lekturą sienkiewiczowskiej Trylogii, a tuż po II Wojnie opowieściami kresowiaków i lwowiaków. (...)

W sierpniu 1939 roku, jak co roku w tym czasie, poszedłem na ul. Szpitalną, gdzie wtedy odbywały się uliczne targi podręczników szkolnych. Miałem do wyboru: nowe książki do każdej klasy, lub używane i większe comiesięczne „kieszonkowe”.

Wybierałem zawsze to drugie, dające większą swobodę w zakupach nowych pozycji (też nie nowych) do mojej osobistej biblioteczki, na bilety do kina Muzeum przy ul. Smoleńsk, i ulubionych łakoci. (...)

³ FON – skrót od Fundusz Obrony Narodowej (przyp. red.).

Ostatnie wspomnienie z tego okresu, to oddanie na potrzeby wojska mojego roweru. Poszedłem z ojcem na punkt zbiórki na Plac Inwalidów. Oddaliśmy oba rowery, ojca i mój. Ani przez chwilę nie było mi żal. (...) Byłem tak przekonany o potęgze naszej armii, że nie wątpiłem o jej zwycięstwie. (...)



A potem? A w niedługi czas potem, usłyszeliśmy wycie syren i huk spadających bomb. (...) Pobiegnę do starej szkoły dowiedzieć się od kolegów, co się dzieje. Znalazłem tylko Sapcia, który wiedział wszystko. Spadły 2 bomby. Jedna na ulicę Studencką (...)zrujnowała dom i zabiła mieszkańców, druga spadła na boisko Cracovii i wybiła ogromną dziurę w asfaltowej bieżni wokół boiska, tam, gdzie odbywały się zawody kolarskie. (...) Rano wcześniej obudził nas stróż i kazał zasłonić okna, bo inaczej, to Niemcy będą strzelać. Nie wierzyłem. Uchyliliśmy ostrożnie zasłonę. Pod szkołą, do której chodziła siostra szedł pochylony do przodu, w obcym mundurze żołnierz z karabinem. Nie wierzyłem własnym

oczom i zacząłem płakać. Z wściekłości. To Juda miał rację? Gdzie nasza armia, którą podziwiałem na Błoniach?! (...)

Na Stolarskiej kupiłem wcześniej m.in. podręcznik do nauki łaciny w I klasie gimnazjalnej. (...) powoli czytałem na głos pierwszą czytankę. Nic nie rozumiałem, ale czytałem z wielkim przejęciem i nabożeństwem (łacina kojarzyła mi się z religią i kościołem). Pierwsze zdanie brzmiało: *Ciconia parvam ranam devorat*. Do dzisiaj to pamiętam. Nauka rozpoczęła się z opóźnieniem. Przetłumaczyłem to wtedy: *Bocian małą żabę pożarł*. *Ciconia parvam ranam devorat!!!* Ta zadra utkwiała we mnie i tkwi dotychczas. Pogłębiała się z biegiem czasu o Jaltę, Poczdam i inne zdarzenia. Ale to już inne, późniejsze czasy.



Następnym bardzo interesującym absolwentem okazał się p. **Stanisław Cyrano** – również rocznik przedwojenny (arkusze ocen 1938/1939, str. 43). Artysta plastyk, mający na swoim koncie wiele znaczących dokonań w dziedzinie sztuki. Własne burzliwe i ciekawe życie opisał w książce pt. „Me som gadzio. Moje spotkania z Cyganami”⁴, wydanej przez Legnicką Bibliotekę Publiczną w roku 2009.

W tekście tym poświęconym polskim Romom, przeplatają się wątki osobiste z opisami historii napotkanych Romów, a wszystko na tle ówczesnej rzeczywistości społecznej

⁴ Niech ewentualnego czytelnika „Me som gadzio...” nie zmyli imię autora książki – Andrzej – albowiem p. Cyrano posługiwał się dwoma imionami: Stanisław i Andrzej, ale wciąż jest to ta sama osoba.

i politycznej. Tak się złożyło, że dziwnym trafem życie Stanisława Cyrano rozgrywało się jakby na kanwie życia przedstawicieli tej grupy etnicznej. Wielowątkowość zdarzeń, z których składa się życiorys autora książki splata się lub może lepiej – ociera, o równie barwne jak on postaci. W refleksyjnym postrzeganiu faktów, nadają one niekiedy dalszy bieg zdarzeniom lub co najmniej wzbudzają świadomość znaczenia tych spotkań. Dzieje się tak zbyt wiele razy, aby narrator tego nie zauważył, a analizowanie przeżytych sytuacji prowadzi niejednokrotnie do ciekawych wniosków. Może każdy z nas mógłby się doszukać takiego ciągu zdarzeń i w swoim życiu. Może tzw. przypadki dają się powiązać w logiczną całość i w życiorysach innych osób? Może nam, w końcu takim samym ludziom, jak p. Stanisław nie chce się tylko tego szukać lub nie umiemy tego zrobić? Pan Cyrano pokusił się o to. I sam, jakby ze zdziwieniem odkrył pewną znamioną wymowę faktów..., a może zrzączenie losu (?).

Ta z pozoru odbiegająca od tematu „Dziejów Szkoły” dywagacja może wskazywać jednak, że warto być świadomym i uważnym odbiorcą i rejestratorem drobnych zdarzeń, spotkań z innymi ludźmi, rozmów z nimi. Wiązać je i utrzymywać. Tworzyć pewien obraz.

Tak powstaje historia. Bez niej żaden człowiek, żaden naród nie przetrwałby dłużej niż jego doraźne istnienie.

Wracając do Pana Cyrano, nadszedł czas na przytoczenie fragmentów wspomnień, które napisał specjalnie dla nas.

Często wracam pamięcią do września 1939 roku. (...) A działo się wiele! (...) Pamiętam jak żar lał się z nieba, a na rogu ulicy Słonecznej i Senatorskiej stał nasz wychowawca Ślusarczyk w mundurze podporucznika. Utkwił mi w pamięci ten obraz, bo był zaskakująco niepodobny do dobrze znanej z codziennych spotkań postaci „pana nauczyciela”, który chodził charakterystycznym kołyszącym się krokiem, pochylając na boki głowę, dźwigając dużą, skórzaną teczkę zazwyczaj wypchaną starannie opakowanymi kanapkami, z których w czasie dużej przerwy zjadał jedną, a kilka pozostałych dawał swojemu synowi Adasiowi; a Adaś wcale nie miał takiego wilczego apetytu, ale mógł się dyskretnie dzielić z kolegami, o których wiadomo było, że w tornistrach przynoszą tylko zeszyty...

Teraz „pan nauczyciel” stał wyprostowany, sztywny, zamiast teczki w ręku miał powieszoną na ramieniu wojskową, żółtą „raportówkę”. (...) Nie pamiętam, czy naukę w szkole zawieszono w dniu rozpoczęcia wojny, czy później. Wiem tylko, że na jakiś czas przerwał się kontakt ze Ślusarczykiem.

Pojawiła się postać Józefa Robaka. Potężny, ze śnieżno-białą puszystą czupryną, brodą, wąsami – taki św. Mikołaj XXL. Robił zawsze groźną minę, ściągał krzaczaste brwi, ale i tak zza wiszących na końcu nosa okularów błyszczały pełne miłości i pogody oczy. Już na pierwszej lekcji przykazał stanowczo, że kto może niech kupuje, a kogo nie stać, niech pożyczy w bibliotece książkę „Lilavati”.

Takie było nasze pierwsze spotkanie z matematyką. (Dotychczas mieliśmy do czynienia z arytmetyką, która i tak na co dzień nazywana była po prostu „rachunkami”). Do dziś ciepło wspominam pana Robaka – kochanego belfra, który w taki „pozaprogramowy” sposób potrafił nam przybliżyć „królową nauk”. Lilavati wybiegała daleko poza nasz program, w którym borykaliśmy się dopiero z działaniami na ułamkach, ale były to czasy, w których chętnie czytaliśmy nie tylko lektury szkolne i dzięki temu wiele nawet bardzo skomplikowanych zagadnień matematycznych chytrze ukrytych w interesujących, barwnych historyjkach beletrystycznych trafiły do naszej wyobraźni i stawały się bardziej zrozumiałe niż suche definicje, których „obkuwanie” na pamięć czekało nas w niedalekiej przyszłości. Lilavati nadal zajmuje honorowe miejsce w mojej bibliotece...



Ukochany nauczyciel matematyki Józef Robak. Rysunek: Stanisław Cyrano, lat 10, kl. IV. Rok 1939/1940

Trzeba przyznać, że w naszej ukochanej szkole sposób nauczania często był niekonwencjonalny, daleko odbiegający od sztywnych, urzędowych reguł; atmosfera w klasie była taka jakaś rodzinna, ciepła.

Następny po p. Ślusarczyku wychowawca – p. Cichocki miał na przykład zwyczaj prowadzenia lekcji nie spoza katedr, lecz siadywał na pulpicie pierwszej ławy i stamtąd raczył nas przeróżnymi opowiadaniem wzbogaconymi żywą gestykulacją.



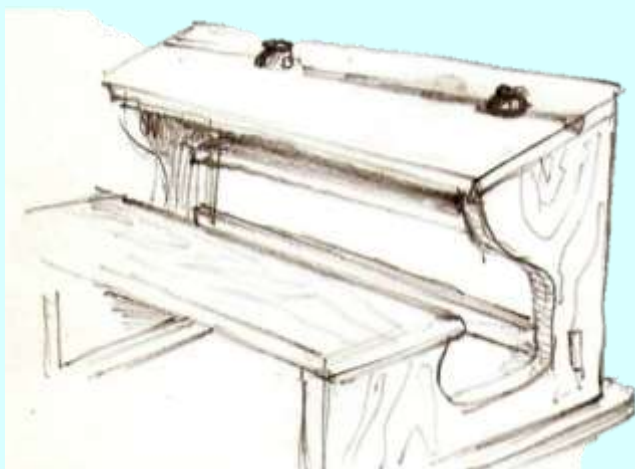
Rysunek zachowany z tamtych lat, autorstwa Stanisława Cyrano, lat 10 kl. IV. Rok 1939/1940

Słuchaliśmy tych opowiadań z zapartym tchem, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, jakie ważne informacje z różnych dziedzin nauk przyrodniczych na trwale zapadają w naszą pamięć. A opowiadania były przeróżne w zależności od tego, jaką wiedzę miały utrwalić. Były to historyjki i wesołe i przygodowe, jakich nie powstydzilby się Karol May, a czasem dramatyczne, jakby zaczerpnięte z gazetowej kroniki wypadków.

Nie jestem chemikiem, ale gdyby ktoś mnie teraz zagadnął znieńacka o różnice wagowe między tlenkiem, a dwutlenkiem węgla – bez wahania odpowiedziałbym, że tlenek węgla jest lżejszy, a dwutlenek cięższy od powietrza, bo pamiętam jak pan Cichocki z przejściem opowiadał o nieszczelnym piecu ogrzewającym królikarnię, co spowodowało śmierć wielu zgromadzonych tam w piętrowych klatkach zwierząt. Ale nie wszystkich – przeżyły te ze środkowych klatek, bo miały jeszcze dość powietrza do oddychania. Najpierw padły króliki znajdujące się wyżej, bo tam zgromadziło się najwięcej trującego tlenku węgla, potem podusily się te biedactwa w dolnych klatkach pogrążonych w ciężkim dwutlenku węgla... Nie wiem na ile prawdziwa była ta historia, ale opowiedziana tak barwnie i przekonująco, że po latach kiedy trzeba było mozolnie zdobywać wiedzę o masie atomowej – cała tablica Mendelejewa wydawała się jakaś bardziej przyjemna i zrozumiała...

„Pan” Cichocki, drobny, szczupłutki człowieczek ledwo wyróżniający się spośród swoich co roślejszych wychowanków cieszył się naszym szczerym szacunkiem i sympatią. W czasie swoich lekcji nie musiał nas strofować, bo słuchaliśmy go zawsze uważnie, z otwartymi ustami.

Niemniej popularny i kochany był pełniący wcześniej obowiązki dyrektora szkoły pan Hojak. Bardzo się różnił tak wyglądem, jak i temperamentem od swoich kolegów, ale tak samo jak oni każdą swą postawą dawał dowody ścisłej, niemal rodzinnej więzi



Ławy szkolne w tamtych czasach składały się z pulpitu i siedziska połączonych w jeden mebel
Rysunek i opis: Stanisław Cyrano, rok 2011.

z rozbrykanym stadem nas – jego uczniów. Wiele lat później dopiero uświadomiłem sobie jak dużo ryzykował, nawet własnym życiem, ucząc nas języka polskiego w sposób niedopuszczalny przez niemieckiego okupanta. Program nauki języka polskiego w latach okupacji wykluczał w ogóle nawiązywanie do literatury polskiej. (Podręcznikiem było zeszytowe wydanie byle jakich tekstów, bez tłumaczeń, w formacie A4 pt. „Ster”). Pan Hojak pod pozorem wyjaśnienia pojęcia „onomatopeja” – deklamował nam fragmenty poezji Mickiewicza i... Tuwima.

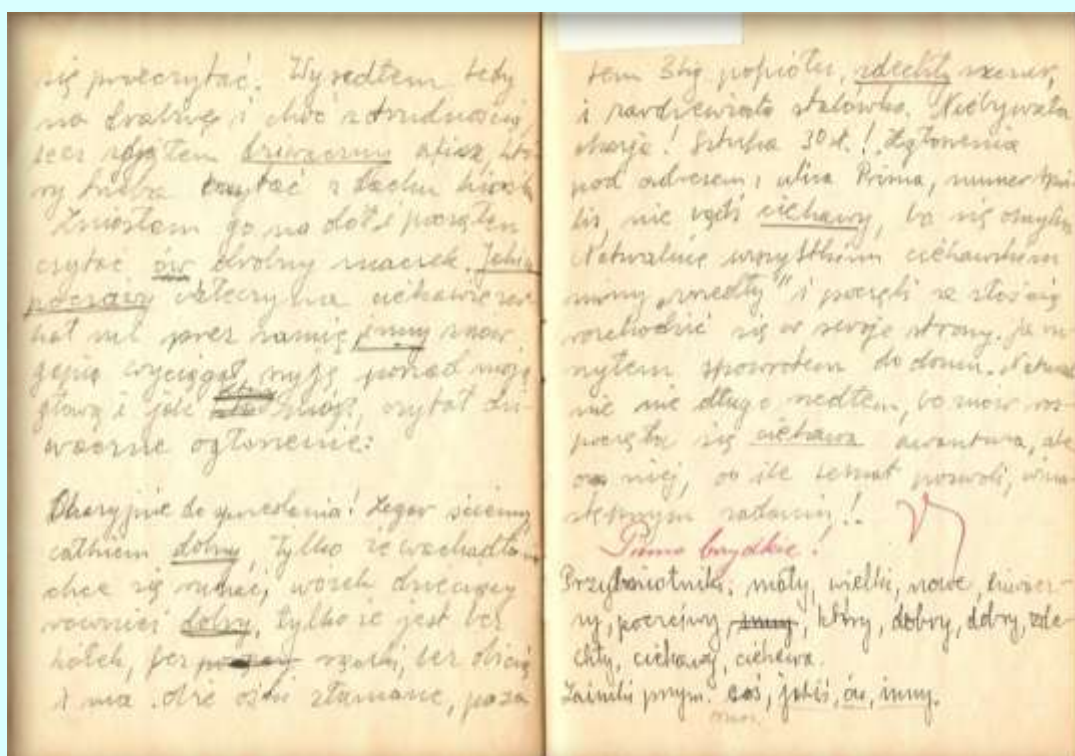
W trzeciej klasie, w ramach lekcji języka polskiego obowiązkowe były zajęcia z kaligrafii. Temu celowi służył specjalny zeszyt z lepszego, tzw. „bezdrzewnego” papieru i specjalna stalówka „rondo” używane tylko do ćwiczeń kaligraficznych.

Później zaniechano tych ćwiczeń, prawdopodobnie ze względu na ograniczenie materiałowe powodowane wojną; dostępne stały się już tylko zeszyty na kiepskim gazetowym papierze, na który trudno był zadbać o subtelne różnice w grubościach kreski tworzącej kształt litery. Ćwiczenia więc znikły, ale u nauczycieli pozostała wrażliwość na estetykę pisma; a że mnie zawsze trudno było nadążyć z pisanem za tokiem myśli – pisałem jak przysłowiowa kura pazurem.

To zaszkodziło tym, że pan Hojak wpisał mi do zeszytu uwagę: „pismo brzydkie”, stawiając obok niby-podpis. Ja, pamiętając stawiane przez pana Hojaka na świadectwach podpisy zamaszyste, ale zawsze czytelne i jednakowe, trochę urażony brakiem oceny „bd”, do której byłem przyzwyczajony, odważyłem się na zgłoszenie beczelnej pretensji: – „A pan też się tutaj podpisał byle jak...”

Pamiętam, że pan Hojak zamiast mnie zbesztać za beczelność uśmiechnął się i powiedział: – „To nie podpis Stasiu, ja podpisuję się zawsze jednakowo, nawet gdy się spieszę. To litera „V”, taki skrót od łacińskiego słowa „vidi” tzn. „widziałem”.

Dlaczego takie drobne zdarzenie utkwilo mi w pamięci? Może dlatego, że do dziś mam ten zeszyt w swoich archiwach, ale na pewno wiem, że od tamtego momentu zaczęłam się żywiej interesować wszelkiego rodzaju skrótami, potem łaciną i innymi językami.



Oryginalna strona z wypracowania, o którym mowa, nadesłana przez Stanisława Cyrano

Z tą łaciną to zresztą było później różnie; mój pierwszy w życiu stopień niższy od „bardzo dobrego” – złapałem właśnie z łaciny... Dostałem „niedostateczny”! Wprawdzie nie był to stopień za brak wiedzy, tylko kara za solidaryzowanie się z klasą w jej strajkowym proteście – ale był! Zdarzyło się to w 1945 roku w gimnazjum im. A. Witkowskiego. Łacinę wykładał nam prof. Sinko. Znana postać, autor podręczników, człowiek o ogromnej wiedzy i... zupełnym braku cierpliwości. (...) Przy perfekcyjnej, głębokiej wiedzy filozoficznej – nie miał zielonego pojęcia o dydaktyce. Usiłował nauczyć języka klasycznego zgromadzoną w II klasie zbieraninę młodzieży męskiej od 15 do 20 lat! Trafiła tu młodzież nie tylko w różnym wieku, ale i o różnych życiorysach wojennych. Zdarzali się między nami tacy, którzy przychodzili z pistoletem ukrytym za pasem na plecach lub między zeszytami w tornistrze... Przy takiej zbieraninie suche, bezduszne definicje i reguły, choćby najprawdziwsze, nie mogły osiągnąć zamierzonego celu. (...)

To nie znaczy, że mieliśmy za nauczycieli samych nerwusów, ale te gimnazjalne doświadczenia jeszcze bardziej utwierdzały nas w przekonaniu, że Opatrzność wcześniej była szczególnie łaskawa obdarzając nas wyjątkowo mądrymi i życzliwymi nauczycielami w najważniejszym okresie rozwoju mentalnego – i dlatego dziś, u kresu życia z rozrzewnieniem i wdzięcznością wspominamy ich, a stare – wciąż odnawiane – mury naszej kochanej szkoły im. dr. Jordana uważamy za prawdziwą Alma Mater.

Pan Stanisław Cyrano zechciał ponadto podzielić się z nami ciekawymi uwagami na temat zmian uwidoczniionych w świadectwach szkolnych z okresu okupacji niemieckiej. Uwagi te zilustrowane nadesłanymi przez niego dokumentami, mogą stanowić interesujący przyczynek do historii szkolnictwa w latach 1939 – 1945, a także do okupacyjnych losów Szkoły Podstawowej nr 31 w Krakowie.



ŚWIADECTWO SZKOŁY POWSZECHNEJ

Cyrana Stanisław
urodzon 4 dnia *22 lutego* 1930 r. w *Krakowie*,
powiatu *Kraków-miasto* religii (wyznania) *rymsko katol.*
uczęszczał do klasy *trzeciej* i otrzymał

za rok szkolny 1938/39. oceny następujące:

sprawowanie	<i>bardzo dobry</i>
religia	<i>bardzo dobry</i>
język polski	<i>bardzo dobry</i>
język	—
historia	—
geografia	—
nauka o przyrodzie	<i>bardzo dobry</i>
arytmetyka z geometrią	<i>bardzo dobry</i>
rysunki	<i>bardzo dobry</i>
zajęcia praktyczne	<i>bardzo dobry</i>
śpiew	<i>bardzo dobry</i>
ćwiczenia cielesne	<i>bardzo dobry</i>

Opuścił dni szkolnych *8*, w tym nie usprawiedliwiono —

Na tej podstawie *przechodzi do klasy*
trzeciej

Publiczna Szkoła Powszechna stopnia *trzeciego*
Nr *31.* im. *Dr. Henryka Jordana*
w *Krakowie* (powiat *Kraków-miasto*)

dnia *21. marca* 1939 r.
Nr *5.* *Januszyk* *Przyjał*
Opiekun klasy Kierownik szkoły

Skala ocen: bardzo dobry, dobry, dostateczny, niedostateczny.

Powyższy druk świadectwa szkoły powszechnej obowiązywał do wybuchu II Wojny Światowej.

PUBL. SZKOŁA POWSZECHNA STOPNIA III. NR 31.

imienia DRA HENRYKA JORDANA

W KRAKOWIE

POWIAT: KRAKÓW-MIASTO.

L. p. 6.

Rok szkolny 1939/40.

ZAWIADOMIENIE SZKOLNE

Lyrana Stanisław
(nazwisko i imię)

urodzony dnia *22 lutego* 1930 w *Krakowie*

powiat *Kraków miasto*, religii rzymsko-katolickiej, uczeń klasy *trzeciej*

otrzymuje za pierwsze półrocze roku szkolnego 1939/40 oceny następujące:

sprawowanie	<i>bardzo dobry</i>
religia	<i>bardzo dobry</i>
język polski	<i>bardzo dobry</i>
historia	<i>bardzo dobry</i>
geografia	<i>bardzo dobry</i>
nauka o przyrodzie	<i>bardzo dobry</i>
arytmetyka z geometrią	<i>bardzo dobry</i>
rysunki	<i>bardzo dobry</i>
zajęcia praktyczne	<i>bardzo dobry</i>
śpiew	<i>bardzo dobry</i>
ćwiczenia cielesne	<i>bardzo dobry</i>

Opuścił dni szkolnych *14*, w tym nie usprawiedliwiono *—*

W Krakowie, dnia 1. lutego 1940 r.

J. Jankowski
Opiekun klasy.

PUBL. SZKOŁA POWSZ. STOPNIA III.
Nr 31 IM. DR. HENRYKA JORDANA
KRAKÓW — UL. ŚLONECKA 13

J. Jankowski
Kierownik szkoły.

Skala ocen: 1, bardzo dobry, 2, dobry, 3, dostateczny, 4, niedostateczny.

Drukarnia Polska w Krakowie

Coll. 18.

Najwyraźniej w pierwszym półroczu po wybuchu wojny, niemieckie władze nie uporały się jeszcze z nową formułą druków i wszystko zostało „po staremu” (przed wojną w ciągu jednego roku szkolnego wystawiano świadectwa dwukrotnie: osobno na pierwsze, osobno na drugie półrocze).

GENERALGOUVERNEMENT FÜR DIE BESETZTEN POLNISCHEN GEBIETE
GENERALNE GUBERNATORSTWO DLA OKUPOWANYCH POLSKICH OBSZARÓW

Nr. 31. Name — im. *Stefan*
Lidm — *klasowa polska publiczna szkoła powszechna*
in *Krakau* Kreis *Krakau-Stadt*
w *Krakowie* powiat *Krakow miasto*
Nr. 6. Schuljahr 1939/40.
Rok szkolny

SCHULZEUGNIS
ŚWIADECTWO SZKOLNE

Cyrena Stanisław

geboren den *22. Februar* 1930 in *Krakau*
urodzon dnia *22. lutego* w *Krakowie*
Kreis *Krakau-Stadt* Konfession *rzymsko-katol.*
powiat *Krakow miasto.* wyznania *rzymskokatol.*
besuchte die 3. Klasse und erhielt für das Schuljahr 1939/40 nachstehendes Zeugnis:
uczęszczał do klasy 3 i otrzymał za rok szkolny

Betragen <i>sehr gut</i>	oprawowanie <i>bardzo dobrze</i>
Religion <i>sehr gut</i>	religia <i>bardzo dobrze</i>
Polnische Sprache <i>sehr gut</i>	język polski <i>bardzo dobrze</i>
Sprache	język
Geschichte	historia
Erskunde <i>sehr gut</i>	geografia <i>bardzo dobrze</i>
Naturkunde	nauka o przyrodzie
Rechnen u. Raumlehre <i>sehr gut</i>	arytmetyka z geometrią <i>bardzo dobrze</i>
Zeichnen <i>sehr gut</i>	rysunki <i>bardzo dobrze</i>
Werkunterricht <i>sehr gut</i>	zajęcia praktyczne <i>bardzo dobrze</i>
Gesang <i>sehr gut</i>	śpiew <i>bardzo dobrze</i>
Leibesübungen <i>sehr gut</i>	ćwiczenia ciałem <i>bardzo dobrze</i>
Weibliche Handarbeiten	roboty kobiece

Veräumte Stunden *26* davon unentschuldig *—*
Lecba opuszczonych *—* w tym nieusprawiedliwionych

Auf Grund dieses Zeugnisses wird der Schüler die Schülerin in die 4. Klasse versetzt.
Na podstawie powyższego świadectwa uczeń-uczenica przechodzi do 4. klasy.

Krakau den *29. Februar* 1940
Krakow
Janusz
Klassenlehrer — opiekun klasy
—
Schulleiter — kierownik szkoły

Urteiler: sehr gut, gut, genügend, nicht genügend.
Skala ocen: bardzo dobry, dobry, dostateczny, niedostateczny.

Jednak świadectwo na koniec roku szkolnego 1939/1940 miało już nową formułę.
Najistotniejsze zmiany to:

- wprowadzenie druków dwujęzycznych (kraju okupowanego i okupanta),
- zlikwidowanie okrągłej pieczęci szkolnej z godłem państwowym,

- usunięcie z pieczęci imienia patrona szkoły,
- „wykreskowanie” miejsca na ocenę z historii – co w praktyce oznaczało likwidację tego przedmiotu.

GENERALGOUVERNEMENT

-klassige öffentliche polnische Volksschule Nr. 31
-klasowa polska publiczna szkoła powszechna

in Krakau Kreis Krakau-Stadt
w Krakau powiat Krakau-miasto
Nr. 3 Schuljahr 1940/41
Rok szkolny

SCHULZEUGNIS ŚWIADECTWO SZKOLNE

Lyrana Stomista

geboren den 22. Februar 1930 in Krakau
urodzony dnia 22. lutego w Krakau
Kreis Krakau-Stadt Konfession Unions-Katol.
powiat Krakau-miasto wyznania symbohist.

besuchte die 4. Klasse und erhielt für das II. Halbjahr des Schuljahres 1940/41
uczęszczał do 4. klasy i otrzymał za II. półrocze roku szkolnego

nächstehendes Zeugnis:
następujące świadectwo:

Betragen <u>sehr gut</u>	sprawowanie <u>bardzo dobry</u>
Religion <u>sehr gut</u>	religia <u>bardzo dobry</u>
Polnische Sprache <u>sehr gut</u>	język polski <u>bardzo dobry</u>
Sprache <u>sehr gut</u>	język <u>bardzo dobry</u>
Naturkunde <u>sehr gut</u>	nauka o przyrodzie <u>bardzo dobry</u>
Rechnen u. Raumlehre <u>sehr gut</u>	arytmetyka z geometrią <u>bardzo dobry</u>
Zeichnen <u>sehr gut</u>	rysunki <u>bardzo dobry</u>
Werkunterricht <u>sehr gut</u>	zajęcia praktyczne <u>bardzo dobry</u>
Gesang <u>sehr gut</u>	śpiew <u>bardzo dobry</u>
Leibesübungen <u>sehr gut</u>	ćwiczenia cielesne <u>bardzo dobry</u>
Weibliche Handarbeiten <u>sehr gut</u>	roboty kobiece <u>bardzo dobry</u>

Versäumte Stunden 26 davon unentschuldigt —
Opuszczonych godzin 26 nieusprawiedliwionych —

Auf Grund dieses Zeugnisses wird der Schüler die Schülerin in die 5. Klasse versetzt.
Na podstawie powyższego świadectwa uczeń uczennica przechodzi do 5. klasy.

Krakau den 28. Juni 1941.
Krakau
Klassenlehrer — opiekun klasy Julianczyk Schulleiter — kierownik szkoły Krzysztof

Urteile: sehr gut, gut, befriedigend, nicht genügend.
Skala ocen: bardzo dobry, dobry, dostateczny, niedostateczny.

Stadtdirektorat Warschau — Nr. 1382/41. Sign. V. L.

W roku szkolnym 1940/1941 historia, jako przedmiot nauczania, całkowicie zniknęła z wykazu.

GENERALGOUVERNEMENT	
<u>Gieken</u> -klassige öffentliche polnische Volksschule Nr. <u>31</u> -klasowa polska publiczna szkoła powszechna	
in <u>Krakau</u> w <u>Krakau</u> Nr. <u>9</u>	Kreis <u>Krakau Stadt</u> powiat Schuljahr <u>1941/42</u> Rok szkolny
SCHULZEUGNIS ŚWIADECTWO SZKOLNE	
<u>Cyrano Stanisław</u>	
geboren den <u>22 Februar</u> 1930 in <u>Krakau</u> urodzony dnia <u>22 Februar</u> 1930 w <u>Krakau</u>	
Kreis <u>Krakau Stadt</u> Konfession <u>Römisch-kathol</u> powiat <u>Krakau Stadt</u> wyznania	
besuchte die <u>5</u> Klasse und erhielt für das <u>erste</u> Halbjahr des Schuljahres 1941/42 uczęszczał do <u>5</u> klasy i otrzymał za <u>erste</u> półrocze roku szkolnego	
nachstehendes Zeugnis: następujące świadectwo:	
Betragen <u>sehr gut</u> Religion <u>sehr gut</u> Polnische Sprache <u>sehr gut</u> Sprache Naturkunde <u>sehr gut</u> Rechnen u. Raumlehre <u>sehr gut</u> Zeichnen <u>sehr gut</u> Werkunterricht <u>sehr gut</u> Gesang <u>sehr gut</u> Leibesübungen <u>sehr gut</u> Weibliche Handarbeiten <u>~</u>	sprawowanie <u>bardzo dobry</u> religia <u>bardzo dobry</u> język polski <u>bardzo dobry</u> język nauka o przyrodzie <u>bardzo dobry</u> arytmetyka z geometrią <u>bardzo dobry</u> rysunki <u>bardzo dobry</u> zajęcia praktyczne <u>bardzo dobry</u> śpiew <u>bardzo dobry</u> ćwiczenia cielesne <u>bardzo dobry</u> roboty kobiece <u>~</u>
Versäumte Stunden <u>92</u> Opuszczonych godzin	davon unentschuldigt <u>/</u> nieusprawiedliwionych
Auf Grund dieses Zeugnisses wird der Schüler- die Schülerin in die <u>6</u> Klasse versetzt. Na podstawie powyższego świadectwa uczeń-uczennica <u>~</u> przechodzi do <u>6</u> klasy.	
<u>Krakau</u> den <u>30</u> <u>Febru</u> 1942 <u>Orzechowski</u> Klassenlehrer - opiekun klasy	<u>Krakau</u> den <u>30</u> <u>Febru</u> 1942 <u>Kuzybski</u> Schulleiter - kierownik szkoły
Urteile: sehr gut, gut, mäßig, nicht genügend. Skala ocen: bardzo dobry, dobry, dostateczny, niedostateczny	

Komentując przekazane nam dokumenty Stanisław Cyrano pisze m.in. również o zmianach wewnątrzszkolnych. Jak dotąd jest to jedyne, pochodzące od naocznego świadka źródło dokumentacji z tego okresu, bo jak wiadomo kronika szkolna urywa się z chwilą wybuchu wojny i wznowiona została dopiero 1 IX 1945 r. Inne, oprócz

cudem zachowanych arkuszy ocen archiwalia, jeśli nawet istniały, zostały spalone przez Niemców.

Odnosząc się do dołączonego przez siebie świadectwa, wspomina Stanisław Cyrano: *Od roku 1941 (świadectwo Nr 3 z 28 czerwca 1941) (...) w miejscu nazwiska dotychczasowego dyrektora S. Hojaka pojawia się nowe: Rudolf Hajnos „Wychowawcą nadal jest Jan Ślusarczyk. (...) Od roku 1942 (świadectwo Nr 9 z dnia 30 czerwca 1942) wychowawcą jest już mgr Cichocki (kochany belfer!). Ślusarczyka aresztowano... (...)*

Na świadectwie istnieje jeszcze numer szkoły 31, ale już za trzy miesiące numer zmieniono na „29” i przeniesiono nas do jednego pomieszczenia użyczanego przez SS. Norbertanki na terenie klauzury (sic!) ich klasztoru, a budynek szkolny przy ulicy Słonecznej zamieniono na koszary wojskowe. Wygląd świadectw i numer szkoły „29” nie zmieniły się już do końca wojny.

Ponadto „Dzieje Szkoły” zostały wzbogacone o zdjęcia nadesłane nam przez autora powyższych informacji. Umieszczone zostały w określonych datami miejscach w tekście drugiego, poprawionego wydania, natomiast w niniejszym aneksie produkujemy unikatową fotografię z adnotacją o szkolnym wydarzeniu, które nie zostało nigdzie odnotowane.



11.05.1933 CZWARTOKLASYŚCI
PRZYGOTOWANI DO DEFILADY W MUNKBURGH
„CZWARTAKÓW”

Dla porównania: tak wyglądał 4 Pułk Piechoty Liniowej (Czwartaków) – polski pułk piechoty z okresu Królestwa Kongresowego, utworzony w 1815 r., a rozformowany w 1931 r. Odegrał on szczególną rolę w powstaniu listopadowym, w bitwie o Olszynkę Grochowską (1831).



Doceniając znaczący wkład faktograficzny i wielkie zaangażowanie p. Stanisława Cyrano w dzieło odtwarzania historii szkoły, mam poczucie ogromnej wdzięczności dla Naszego Absolwenta. Mam nadzieję, że tę „cegielkę” doceni też każdy Czytelnik Jego wspomnień i uwag.



Po przeczytaniu „Dziejów Szkoły” osobiście odwiedził nas p. **Jerzy Uznański**, urodzony w roku 1929, a więc absolwent z lat przed- i okupacyjnych. Jego opowieść została spisana przez autora „Przyczynków do Dziejów Szkoły” z jego woli. Doskonale pamięta nazwiska nauczycieli przedmiotów, a także dyrektorów: Józefa Robaka i jego następcy Stanisława Hojaka. Potwierdził narzucające się przypuszczenia o nagłej zmianie dyrektora w okresie okupacji (jak wynika z zaprezentowanego w „Dziejach Szkoły” wykazu dyrektorów na mianowanie dyrektorem Rudolfa Hajnosa nie znaleziono żadnych dokumentów). Opowiadał o tułaczce uczniów przenoszonych na czas wojny do klasztoru SS. Norbertanek (1940) i do baraku przy pl. Biskupim (1941).

Tercjanem (dziś słowo to wyszło z użycia, zamienione na „woźny szkolny”) był wówczas niejaki pan Madej, postać, która jak większość sprawujących tę funkcję, mająca wielkie znaczenie w szkolnym życiu uczniów. Szkolnym i nie tylko szkolnym.

Mieszkał na parterze, w budynku przy ul. Słonecznej 18. Wokół mieszkali dzieciaki. Znał ich rodziców, sytuacje rodzinne, losy rodzin. Zagadnął przypadkowo spotkanego,

pogadał. Przy zamykaniu ulicy nieraz przegonił miotłą co bardziej rozbrykanych uczestników zabaw.

Ponadto Pan Madej prowadził własną hodowlę „żywca”. Miało to szczególne znaczenie w warunkach biedy wojennej. Hodował króliki. Jak wiadomo króliki szybko i licznie się rozmnażają. Starczało na wyżywienie właściciela i jeszcze kilku innych potrzebujących.

Innym osobliwym akcentem czasu wojny i okupacji był występujący brak... wróbli na ulicy Słonecznej. Wtedy Kraków był przede wszystkim zasiedlony przez te ptaki, podrywające się do lotu całymi stadkami, podobnie jak dziś gołębie, które podówczas podjadały im notorycznie co większe kęski. Charakterystyczne było jednak to, że gołębie przebywały niemal wyłącznie w rejonie Starego Miasta, Rynku i Plant. Resztę Krakowa, zwłaszcza zielony Salwator i okolice Błoń zawojowały ćwierkające wróble.

Otóż Niemcy zakwaterowani w budynku szkolnym w ramach ćwiczeń... odstrzelali te ptaki. Aż w końcu całkowicie je wystrzelali...

Wracając jeszcze do szkoły... Obojętnie gdzie była w czasie okupacji zlokalizowana, odbywały się w niej loterie fantowe. Cele bywały różne, ale zawsze charytatywne. Rodzice i dzieci przynosili przedmioty codziennego i niecodziennego użytku, duże i małe, aż do... kredensów włącznie – jak wspomina p. Jerzy Uznański.

I jeszcze jeden szczegół: pan Uznański, mieszkający naprzeciw szkoły, był naocznym świadkiem palenia przez Niemców mienia szkoły, w tym zupełnie unikatowych dokumentów. Wyrzucane z okna wirowały w powietrzu zanim trafiły do rozpalonego na podwórku ogromnego ogniska, w którym płonęły już meble i inne szkolne przedmioty. Smutny to był widok, a straty niepowetowane.



Bolesław Leonhard, który trafił do naszej szkoły w roku 1945 był uprzejmy udostępnić nam obszerny tekst wspominkowy, z którego z żalem – ze względu na jego kronikarskie zalety – wykorzystujemy tylko fragmenty.

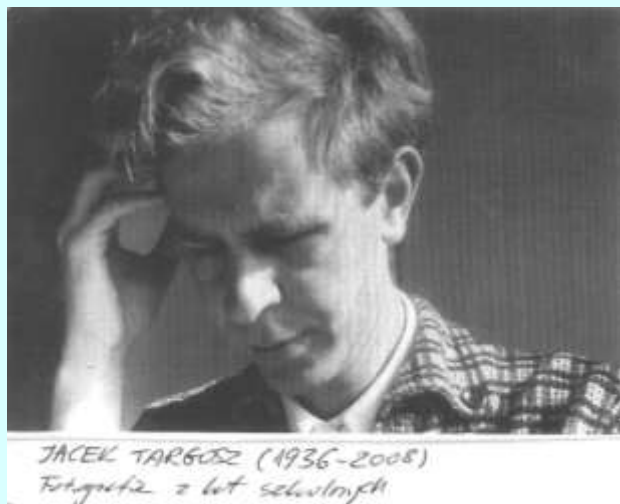
Autor jest z powołania lekarzem i harcerzem, m.in. znawcą historii harcerstwa, publikującym w „Krakowskim Roczniku Historii Harcerstwa”, w którego tomie VIII znaleźć będzie można pełny tekst tego wspomnienia.

Tekst nadesłany do nas ma w stosunku do poprzednich nieco inny charakter. Posiada cenne dla niniejszego opracowania fragmenty dotyczące funkcjonowania szkoły, dużo uwagi poświęca wzlotom, upadkom, likwidacji i odrodzeniu się harcerstwa polskiego. Nawet fragmenty tego, co udało się tutaj zamieścić oddają znakomicie ówczesną rzeczywistość, szokujące z perspektywy czasu realia polityczne i ich kreatorów. Głównie jednak poświęcony jest jednej osobie Jacka Targosza – kolegi ze szkolnej

ławy, również naszego absolwenta. Słowa te zapisane zostały pod wpływem wiadomości o jego przedwczesnej śmierci w czerwcu 2008 r.

Kim był Jacek Targosz?

Po skończeniu wyższych studiów muzycznych, Jacek – jak pisze B. Leonhard – uczył przedmiotów teoretycznych w Szkole Muzycznej w Rzeszowie, a potem (1960) teorii i kompozycji w Państwowej Szkole Muzycznej II stopnia (przy ul. Basztowej 9). Był też wykładowcą w krakowskiej Akademii Muzycznej (1970). Kierował w niej Zakładem Akustyki (1979 – 2006) oraz form muzycznych, kontrapunktu i propedeutyki kompozycji (2000 – 2006), był też prodziekanem i dziekanem Wydziału Wychowania Muzycznego (1987 – 90). Napisał podręcznik pt. „Podstawy harmonii funkcyjnej” (PWM Kraków 1993, 1998, 2009), oparty na opracowaniu własnej metody nauczania w tym zakresie.



Dla kolegów z Akademii Muzycznej i Liceum Muzycznego był autorytetem dydaktycznym i znawcą analizy form muzycznych, a dla studentów, studentek i uczniów wychowawcą przekazującym im swą wiedzę i zamilowanie muzyczne z cierpliwością i pogodą ducha. Był kompozytorem pieśni religijnych i kolęd, współtwórcą i wykładowcą Sekcji Muzyki Instytutu Liturgicznego PAT. Należał do grona organizatorów wieczorów muzyki sakralnej od VI Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej (1990) poczynając. Swą wiedzą i pomocą wspierał Polskie Towarzystwo Bachowskie, Polskie Towarzystwo Śpiewacze i Orkiestr Dętych, Polskie Towarzystwo Akustyczne, Szkołę Letnią Kultury i Języka Polskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego, oraz Akademię Muzyczną w Gdańsku.

Jego życie i dzieło uwiecznia film autorstwa Agnieszki Draus i Magdaleny Silberring-Strzeleckiej pt. „Jacek Targosz (1936 – 2008). Szkic do portretu”, (Kraków 2009).

A oto fragmenty dalszego tekstu Bolesława Leonharda. Autor początkowo opisuje życie w SP 31, ale jak już wcześniej wspomniano, głównie sylwetkę tylko jednego jej ucznia z tamtych lat.

W Krakowie, w roku 1945

Jacka Targosza poznałem w październiku 1945, gdy z Raby Wyżnej ściągnęła nas do Krakowa rodzina ojca (zginął w obozie koncentracyjnym Weimar-Buchenwald 5 III 1942) zamieszkała przy ul. Syrokomli 11A. (...) Stąd z młodszym bratem trafiłem do Szkoły

Powszechnej Męskiej stopnia III nr 31, im. Dr. Henryka Jordana przy ul. Słonecznej 18 (obecnie Bolesława Prusa). Matka zapisała Staszka do klasy I, a mnie do IV A, do której chodził Jacek. Przy szkole działała XV Drużyna Harcerzy im. Lepolda Lisa-Kuli. Jej przedwojenny drużynowy, phm. Władysław Mitkowski, zginął 24 VI 1942 jako żołnierz AK od kul gestapo, i jego imię nosiła od czerwca 1945.

Była też Gromada Zuchów „Flisaków”, do której za zgodą matki (harcerki VI KDH z lat 1924 – 28) wstąpiliśmy z bratem. Zuchy prowadził druh Janczur (po roku 1946 „Flisacy” zostali „Antkami Zwierzynieckimi”). (...)

Kraków był pełen harcerek i harcerzy. Alejami jechały czołgi T-34 z czerwoną gwiazdą, a zisami – oddziały krasnoarmiejców wyśpiewując:

*Po dolinam i po wzgorzom,
Raskwitali jabłoni i gruszi,
popłynęli tumany nad riekę,*

albo groźnie:

*Kipuczają, moguczają, Moskwa mają
ty Staliny ozariena.*

Widać było też żołnierzy Wojska Polskiego z rosyjskimi pepesami i mosinami, na rogatywkach nosili orła z koroną, albo tzw. piastowskiego bez korony i tarczy, przez ruskich określanego kuricą. Mimo informacji i czujnych sojuszników wspierających władzę ludową, niektóre polskie oddziały śpiewały „Szturmówkę” z powojenną już zwrotką:

*Chłopie coś zwiedził pół świata,
Aby Polsce wolność nieść,
Nie ociągaj się u kata,
Śmiało w polskie lasy leż...
Bo dla naszej kompanii szturmowej
Nie ma przeszkód i nie ma złych dróg,
To na drodze granatem wal w głowę,
Bywaj zdrów, i prowadź na Lwów.*

Później mogły śpiewać już tylko „Serce w plecaku” lub „Rozkwitały pąki białych róż”, ale i tych pieśni zakazano na rzecz „Spoza gór i rzek” (I Korpus) oraz „Szumi dokoła las” (Oka).

Do szkoły im. dr. Henryka Jordana zimą, w tych pierwszych latach powojennych trzeba było przynosić nieraz opał do pieców węglowych. Krzesła też pochodziły z domu. Siedzieliśmy przy stolikach z kałamarzem tkwiącym w przeznaczonym na to otworze, bo pisało się wtedy piórem maczanym w atramencie. Za to w święta Bożego Narodzenia oglądaliśmy w szkole szopkę pana Malika z „Betlejem Polskim” Rydla, a latem filmy popularno-naukowe w Kinie Oświatowym przy ul. Garncarskiej 1.

Brakowało podręczników, trzeba było umieć teksty dyktowane na lekcjach. Te zaległe usiłowałem więc przepisać z zeszytu pożyczonego od Jurka Wylęgały. Jakiś kolega widząc te wysiłki, podszedł i próbował mi coś z niego podyktować, ale już po chwili machnął ręką, zrezygnował i orzekł:

– Oddaj Jurkowi. Pożyczę ci swój zeszyt po szkole. Mieszkam przy Ujejskiego 12.

To był Jacek. Uczynny i koleżeński, zawsze można było na niego liczyć. W klasie siedział w jednej ze środkowych ławek pod oknem, razem z Jasiem Włodarczykiem czyli Tolem, następną za nimi zajmował Antek Solecki i Mietek Ropa, i tak było do końca klasy VII. Kiedyś Jacek twierdząc, że Tolo ma słuch absolutny, namówił go na występ w chwili zastojów na lekcji śpiewu. Tolo zaśpiewał. Udobruchany nauczyciel dał mu bardzo dobrze, a klasa z Jackiem na czele oklaski za śpiew, a także za obdarowanie Jasia młynarczyka własnym nazwiskiem. Tolo bowiem piosenkę trochę poprawił, zapewniając, iż:

*Słoty młyn, a przy młynie,
wicher dmie, rzeka płynie,
Słoty młyn zboże miele,
na białej mąki pył,
by z mąki tej chleb był.*

*Słoty młyn huczy warczy,
w młynie tym jest Jaś Włodarczyk,
Wolnych chwil on ma niewiele,
bo on pilnować ma,
by praca w młynie szła.*

*Ale za to przy niedzieli,
kiedy Jaś ma wolny czas,
Idzie on do swej Anieli,
i na spacer idą wraz.*

*Słoty młyn odpoczywa,
dzień jak sen mu upływa,
Ona jest z nim szczęśliwa,
a Jaś, że nie jest kiep,
z tej mąki będzie chleb.*

Prace ręczne były przedmiotem szkolnym, ale poza szkołą pobudzał nas do nich jeszcze „Płomyk”, rozprawdzany po klasach przez p. Józefa Robakę. Wszyscy albo strugaliśmy coś z drewna, albo wycinaliśmy jakieś cuda z blachy, z których część znalazła się później na wystawie, urządzonej w sali gimnastycznej.

Z eksponatów (modele samolotów, łodzi, czołgów, samochodów, domów, itp.) najbardziej zainteresowało Jacka radio wykonane przez kolegę Syskę z naszej klasy. Był to detektor ze słuchawkami, zmontowany w małym metalowym pudełku z UNRRA po żelaznej racji (Emergency Ration, 11 × 8 × 3 cm) dający całkiem dobry

odbiór. Budziło więc podziw zwiedzających wystawę rodziców, nauczycieli i uczniów. Radio zakazane przez Niemców w czasie niedawnej okupacji, za posiadanie którego posyłali Polaków do obozów zagłady (względnie mordowali w egzekucjach ulicznych), było teraz jakąś namiastką wyzwolenia.

W czerwcu 1948 opowiadałem Jackowi o Dniu Zucha na Stadionie Miejskim: były tam wyścigi „Indian” na travois, „Smok Wawelski” hasający na czterdziestu kilku nogach, rycerz polski walczący z Krzyżakiem i zuchowa „karuzela”. Po kolonii letniej Zuchów „Słowian” (Granatowej Dziewiątki) w Rabce-Zdroju, na którą dzięki matce trafiliśmy razem z bratem – Jacek słuchał mojej relacji o wieczornych ogniskach ze skeczami, o totemie ze Swarożycem, o leśnych podchodach i wycieczkach, o zdobywaniu sprawności i gwiazdek, o niedzielnych przemarszach ulicami Rabki. Słuchał uważnie, ale widać było, że nasze zuchowe przygody coraz mniej go pociągają, że coraz więcej pochłania go nauka w szkole muzycznej.

Gdy państwo Targoszowie przenieśli się do domu przy ul. Kościuszki 3 (z „Drukarnią Polską” na parterze), Jacek zaprosił mnie do siebie. Jego ojciec, pan Tomasz, wspominał wtedy mego stryja Bolesława, z którym przed wojną kończył prawo na UJ, a pani Jadwiga, matka Jacka, pokazywała zdjęcia męża z lat wojny, zwiedzającego Grotę Narodzenia Pańskiego, gdy służył w jednostce Polskich Sił Zbrojnych w Ziemi Świętej. (...)

Bywaliśmy też widzami na przedstawieniach pisanych, organizowanych i reżyserowanych przez siostrę Jacka, Karolinę. Pamiętam jedno, z czasów Bolesława Krzywoustego, z Autorką w roli głównej. Był też spektakl „Nocne mary”, który ubawił całą widownię. Jacek był bardzo dumny z tych twórczych i scenicznych inicjatyw swej siostry.

Dyrektorem naszej szkoły był pan Hojak, opiekunką klasy p. Jadwiga Ryzakowa od języka polskiego, którego uczył nas też pan Matuła. Matematykiem był p. Jan Ślusarczyk i Jan Dyga, p. Zarazka uczył historii, ks. Czarniak religii, p. Faber i Szewczyk śpiewu, był też p. Wójcik, organizator chóru szkolnego (repertuar: kolędy i piosenki patriotyczne). Nie pamiętam innych (od fizyki, chemii, biologii), zbyt często się zmieniali. Rosyjskiego uczył najpierw Stanisław Dustanowski, po nim przyszła rodowita Rosjanka. Nosila wytworne futro, nawet gdy mrozy minęły, zapewne na znak dobrobytu w ZSRR. Kiedyś zaczęła nas uczyć hymnu Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej (ŚFMD):

*Dieti raznych narodow,
my miecztoju o mirie žiwjom...*

z referenem:

*Każdyj kto cziestien,
stań z nami wmiestie
protiw agnia wojny...*



ks. M. Czarniak

Ta „walka o pokój” trwała również wtedy, gdy ZSRR miał już broń jądrową i doktrynę o uprzedzeniu napaści „kapitalistyczekawo agresora”, zapewniającą pokój, raczej już wieczny.

Kończąc szkołę powszechną, zostaliśmy wybierzmowani przez ks. Kardynała Adama Stefana Sapiechę, zwanego od lat okupacji Księciem Niezlomnym. Był drobnej postaci, co we wielkim wnętrzu bazyliki o.o. franciszkanów mogło wprowadzić w błąd; tym większy szacunek budziło mocne uderzenie Jego ręki, przypominające również o mocy Jego ducha.

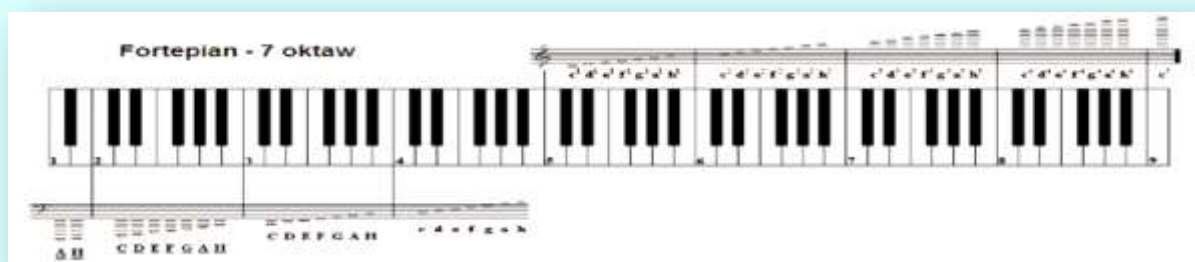
W lipcu 1949 pojechaliśmy z bratem na nasz pierwszy obóz harcerski pod namiotami z zastępem „Orłów”. Właściwie był to podobóz VI i XV KDH prowadzony przez H.R. inż. Jana Rolewicza (rówieśnika Jana Bytnara z „Kamieni na szaniec”), obożnym był Zdzisław Heydel (później admirał wypraw kajakowych z ks. Karolem Wojtyłą); należeliśmy do Zgrupowania Obozów Hufca Kraków – Wawel w Falsztynie nad Dunajcem. (...) Obóz nasz odwiedził drużynowy Szóstki, nasz niedawny nauczyciel rosyjskiego, Stanisław Dustanowski. Jeszcze do września 1949 istniała nasza Piętnastka, a przy Nowodworskim Szara Siódemka, ale już w jesieni harcerstwo zlikwidowano i zaczęły się naciski na wstępowanie do ZMP.



Po ukończeniu szkoły podstawowej przy B. Prusa znajomość autora z Jackiem Targoszem była kontynuowana. A tak o nim pisze dalej autor:

Kiedyś w szkole średniej (przyp.red.) polonista, prof. Franciszek Bielak zwrócił się z pytaniem czy ktoś z muzycznym zacięciem może dorobić melodię do wiersza Marii Konopnickiej o sierocie karcącym słonko za wesołe świecenie uśmiechami w koło, gdy on biedny we łzach stoi. (...) Jacek taką melodię ułożył. Była łatwa, podobała się wszystkim i oddawała nastrój wiersza. Prof. Bielak był nią zachwycony.

Sam Jacek podziwiał wtedy technikę Sztompki i Halinę Czerny-Stefańską, zdobywczynię pierwszej nagrody na Konkursie Chopinowskim w Warszawie. Kiedyś złapał się za głowę, gdy stwierdził, że myłę polonez as-dur Chopina z polonezem a-dur, i postanowił rozprawić się z moją ignorancją. Zaczął odkrywać mi piękno i głębię w polonezie as-dur (...)



Potem zaczęliśmy chodzić na koncerty do Filharmonii. Na jednym z nich, występ Barbary Hesse-Bukowskiej tak oczarował Jacka, że pognął do niej z gratulacjami. Wiedzieliśmy już, że Jacek będzie wielkim muzykiem. Kiedyś poprosiłem więc Jacka o zdjęcie z dedykacją. Napisał: „Kochanemu Bolkowi, pierwszemu piewcy mego »talentu«”. Wcale nie byłem pierwszy, ale taki napis widnieje dość wyraźnie na odklejonej po latach odbitce (niestety bez daty).

Jacek z powagą ukazał mi swój nowy kąt do pracy, gdy państwo Targoszowie zamieszkali pod Wawelem, w domu przy ul. Powiśle 10. Stało tam pianino, był też stolik, nad którym wisiała w ramkach fotokopia obrazu z Matką Boską (chyba Stachiewicza „Pożegnanie”) z wypisanym błogosławieństwem ks. Karola Targosza dla bratanka. (...)

Jeden z nauczycieli (przyp.red.) zorganizował m. in. kilka większych wypraw rowerowych, w których z naszej klasy uczestniczył Jacek wraz z Tolem, Antkiem Soleckim, Mietkiem Ropą i Jasiem Zaleskim. Wkrótce potem Jacek zamontował sobie przerzutkę (wówczas wielka nowość) i awansował na klasowego eksperta w sprawach kolarstwa.

Wyczyny kolarskie Jacka warte są osobnego opisu, czy raczej eposu. W tamtych latach wyczynem było „wyciągnięcie” pod stromą Mogilankę (obecna autostrada omija ją bokiem). Nabijał się Jacek z mych nieudanych choć chytrze, bo w chłodne dni dokonywanych, prób. Za to, gdy mocno tym zdumiony wyjechałem przy dużym upale, orzekł laskawie:

– No widzisz. Jak zechcesz, jak się postarasz, to potrafisz.

(...) Sprawił nam wielką radość docierając rowerem do Bobrka pod Oświęcimiem, gdzie przebywaliśmy z bratem na kolonii letniej. Po pogawędce, posiłku i drzemce na leżaku, odjechał żegnany przez garstkę kolonijnych fanów kolarstwa, podziwiających jego kondycję. (...)

Z Jackiem odbyłem kilka krótszych oraz trzy większe wyprawy rowerowe: do Rabki-Zdroju, do Mszany Dolnej i do Tylmanowej. W trakcie tej pierwszej, Jacek (który wybrał łacinę) spytał o mój angielski i dowiedział się, że idzie marnie. Gdy później powtórzył to swojej matce, pani Jadwiga zaproponowała pomoc. Zawsze uśmiechnięta i pełna optymizmu, sporo się nade mną namęczyła zanim p. Wałężanka postawiła mi pierwszą dobrą notę. Wspominam to z wdzięcznością, bo znajomość angielskiego bardzo mi się przydała w medycynie, a wiele lat później również w kontaktach ze skautami na Zachodzie, którym m.in. trudno było pojąć jak to jest, że chociaż przybywamy z komunistycznej Polski, to tak naprawdę jesteśmy skautami katolickimi, i że latem, podobnie jak oni, obozujemy w lesie with tents and camp-fire. (...)

Jacek po średniej szkole muzycznej zamierzał studiować w PWSM (Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna). Tymczasem obiecał, że da znać o swych koncertach. Dzięki temu kilkakrotnie mogłem słuchać jego gry na występach w tzw. Floriance przy ul. Basztowej i raz w szkole przy ul. Warszawskiej. (...)

W Polsce zaczęły się odradzać harcerskie drużyny zlikwidowane z końcem roku 1949. Małopolski ZHP został formalnie reaktywowany 4 grudnia 1956 na wiecu w Sali Kopernika Collegium Novum UJ. Byłem wtedy w Kręgu Instruktorskim „Asklepios” przy Akademii Medycznej, podjąłem szkolenie młodzieży w udzielaniu pierwszej pomocy. Hufcowy nalegał abym uprosił o pomoc kolegę muzyka w rozśpiewaniu harcerek i harcerzy. Jacek ucieszył się, że pamiętam o jego talentach, ale słusznie uważał, że tym problemem muszą się zająć muzycy harcerscy.

Na wszelki wypadek zastrzegł się, że przecież pali od Nowodworka, więc nie może udawać harcerza, a gdyby nawet przestał i tak nie zmieściłby się w czasie. Uprzedził, że papieroski mu nie szkodzą, i powołał się na przykład Lisa, który też pali i jest zdrowy (niestety po latach Lisowi nikotyna zniszczyła serce, a Jacka zabił rakotwórczy benzopiren i Polon 210).

Wkrótce jednak (1959) wpisał się trwale do historii 33 Krakowskiej Drużyny Harcerzy im. Janka Bytnara ps. Rudy (bohatera z „Kamieni na szaniec”) jako autor melodii jej hymnu. Spełnił w ten sposób prośbę druha Jana Rolewicza i moją. Pamiętam, że przy jej komponowaniu zażądał najpierw jakichś motywów harcerskich, powoli ją ułożył, zapisał, potem zanucił, i zagrał. A jeszcze potem się zamyślił, zastanowił i po chwili powiedział:

– A wiesz? Można to również zagrać o tak!

I odegrał na pianinie tę melodię na tle jakichś wspaniałych akordów (do dziś nie mogę sobie darować, że nie poprosiłem go wtedy o jej zanotowanie w tej podniosłej oprawie muzycznej). Nazajutrz pognałem do Rolewicza, który przeczytał nuty (przed wojną uczył się gry na skrzypcach) i nagle rozpromienił się:

– Podziękuj swemu koledze. Drużyna Janka Bytnara może być z tego hymnu dumna!

Była to jedyna wówczas drużyna Rudego w Polsce, ale po kilku latach, hymn z melodią Jacka śpiewało już ponad trzydzieści drużyn tego imienia. Gdy po latach przybyła do Krakowa pani Zdzisława Bytnarowa, matka Rudego, chciała osobiście podziękować Jackowi. Ale Jacek nie przybył wtedy na jej spotkanie z Dąbiem. (...)

Minęło ładnych kilka lat, zanim znowu spotkałem Jacka. (...)

W końcu, po długich tarapatach uzyskałem dyplom i zostałem skierowany na staż do Szpitala Miejskiego w Chrzanowie (1964 – 66), a po nim powołany do odbycia zaszczytnej służby w Pomorskim Okręgu Wojskowym (1966 – 67), po której dostałem etat w Krakowie, w Miejskim Szpitalu Specjalistycznym im. Dr Anki (obecnie im. Jana Pawła II). (...)

Jeden z oddziałów szpitala mieścił się wtedy w zabytkowym Pałacu Decjusza na Woli Justowskiej. Stamtąd kiedyś, letnią porą (chyba w roku 1970) wracając z dyżuru pustawym o tej porze autobusem 134, ujrzałem Jacka w roli czulego ojca, trzymającego na kolanach śpiącą córeczkę. Dzięki



wyprawom Jacka z małą Marysią na świeże powietrze do Lasku Wolskiego, mogliśmy wreszcie po latach, zamienić parę słów.

Potem kiedyś natknąłem się na Jacka w Rynku Głównym, przy Krakowskim Domu Kultury (był nim Pałac Potockich pod Baranami); miewaliśmy tam zebrania Koła Abstynentów im. A. Małkowskiego. Koło działało przy Zarządzie Wojewódzkim Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego, prowadziło akcję oświatową i wydawniczą. Przypominało władzom nowego ZHP, że Andrzej Małkowski założył harcerstwo jako organizację abstynencką, jaką powinno być nadal. Zażartował:

– Obrzydzacie porządnym ludziom palenie i picie! Nie wejść! (...)

W kwietniu 1982, w stanie wojennym, o. Adam Studziński kapelan kombatanów, dał początek Duszpasterstwu dla Harcerek i Harcerzy przy kościele św. Idziego. Na trasach pielgrzymek Ojca Świętego do Ojczyzny 1983 i 1987 pojawiła się ku zaskoczeniu władz, wielotysięczna umundurowana harcerska Biała Służba (medyczna, porządkowa, informacyjna). (...)

Jedna z takich uroczystości (narodowo-patriotycznych – przyp.red.) odbyła się również w Szkole Muzycznej przy ul. Basztowej. Zorganizowana była przez Szczep Słowików (44 KDH), miała piękną oprawę muzyczną z występem smyczkowym dwóch druhen: Marysi i Elżbiety Targosz. (...) Jacek zapewne o tym wiedział, bo znał kadrę Szczepu, do którego należały jego córki. (...)

Latem 2004 zamieszkaliśmy przy ul. Blich 4, a w rok później, idąc do swej pracy na godzinach (jako emeryt) spotkałem Jacka pod Akademią Muzyczną (gmach przy ul. św. Tomasza 43, w latach PRL siedziba KW PZPR), w której (również jako emeryt) prowadził wychowanie muzyczne. Był pełen optymizmu i planów na przyszłość.

Kilka dni później spotkałem tam też prof. Stanisława Krawczyńskiego, rektora Akademii Muzycznej, wspominając przez chwilę harcerskie czasy druha harcmistrza ze Szczepu Słowików. Przy okazji z radością usłyszałem od niego jak bardzo ceni Jacka jako znawcę przedmiotu i wychowawcę młodzieży. Były to słowa najwyższego uznania.

Latem 2007 znowu zobaczyłem Jacka pod Akademią Muzyczną. Walczyłem od dawna ze swoją nadwagą bez skutku, więc od razu zauważyłem, że wrócił do sportowej sylwetki z młodych lat. Wyrziliem mu swe uznanie, ale Jacek odparł z goryczą:

– Schudłem bo mam raka. Jestem właśnie po wycięciu połowy żołądka.

Byłem wstrząśnięty, ale odpowiedziałem natychmiast:

– Jeżeli ci wycięto część żołądka zajęłą przez raka, to już tego raka nie masz!

Nie było czasu na pytania, Jacek się spieszył. Miałem nadzieję, że następnym razem przyzna mi rację. Niestety, pesymizm Jacka był uzasadniony. Zmarł 7 czerwca 2008. W tłumie żegnających Jacka, zobaczyłem wielu znajomych, wśród nich harcerki i harcerzy ze Szczepu Dąbie, z kwiatami w barwie chust. Nowa kaplica na Salwatorze nie mogła pomieścić wielkiej rzeszy ludzi przybyłych na pogrzeb. Przemawiał rektor

prof. Stanisław Krawczyński i prof. Bogusław Grzybek, wspominający o religijnych kompozycjach Jacka. A Jacek zmierzał teraz na spotkanie z Bożym Miłosierdziem, do którego miał szczególne nabożeństwo i ku którego czci poświęcił jeden ze swych największych utworów.

Bolesław Leonhard

Nie sposób oprzeć się refleksji, że tekst ten uczy nas jeszcze czegoś „ponadwymiarowego”: przedłużenia życia jednego człowieka, dzięki pamięci drugiego człowieka.



Zdarzyło się też i tak, że „Dziennik Polski” z 18 IX 2010 r. opublikował artykuł wspomnianego wcześniej red. **Andrzeja Koziola** pt. „Stara buda”. Jest to artykuł – recenzja tego, co zostało napisane w „Dziejach Szkoły”, ale też kapitalny przyczynek do zebranego materiału. Ze znaną sobie swadą i dziennikarskim zacięciem p. Andrzej Koziół daje tu niezłą porcję wspomnień wyjętych prosto z własnego magazynu pamięci. Co cenne – odbitych na szerszym tle topograficznym i obyczajowym. Plastyka opisu otoczenia w jakim tkwiła „buda” jest jak filmowy obraz. Kto to zna – potrafi docenić, kto nie zna – może stworzyć we własnej wyobraźni. Tak profesjonalnego pióra nie można tutaj pominąć. Pominięte zostaną natomiast (aby nie być posądzonym o autoreklamę) te fragmenty, które dają ocenę pracy kronikarskiej autora „Dziejów...”.

Buda – tak nazywaliśmy szkołę. A kiedy szliśmy na wagary, mówiliśmy, że „idziemy za budę”. Było dokąd chodzić – nad Rudawę lub nad Wisłę, w gęstwinę Sikornika albo nawet do Wolskiego Lasku. Kusily też Błonia, wtedy, w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia, codziennie rozbrzmiewające okrzykami smarkaczy „różnych w gałę” czyli po prostu grających w piłkę. I do wszystkich tych rozkosznych miejsc było blisko, bo buda, szkoła podstawowa nr 31 im. dr. Henryka Jordana znajdowała się w sercu Półwsia Zwierzynieckiego, pomiędzy placem Na Stawach, w środkowej części ulicy Słonecznej. Wprawdzie ulica od lat nazywa się inaczej, Bolesława Prusa, ale dla nas, uczniów sprzed pięćdziesięcioleci, nasza stara buda mieści się przy ulicy Słonecznej.(...)

Dziennikarz przytaczając zamieszczony w „Dziejach” akt erekcyjny z 1812 r. powołujący szkołę do życia, pisze dalej:

Prawdę mówiąc, szkoły na Zwierzyńcu powstawały o wiele wcześniej, kto wie, czy jakaś ich namiastka nie istniała w czasach bł. Bronisławy – na Zwierzyńcu od dawna nazywanej świętą – a więc w XIII wieku. Prawdę mówiąc, w klasztorze w XVII stuleciu za czasów słynnej ksieni Kąskiej, działała szkołka dla panien aspirujących do klasztoru. Trzymajmy się jednak dokumentów – załączkiem szkoły 31 była publiczna szkołka parafialna dla obojga płci, zatwierdzona w 1812 roku – za dwa lata dwustulecie! – przez władze Księstwa Warszawskiego.

Był wtedy (w 1816 r. – przyp. red.) jeszcze Zwierzyniec wsią najszczyrszą i dopiero za niespełna lat 199, w roku 1910 miał zostać włączony do Krakowa, z pewną przesadą zwanego wielkim. Po co jednak sięgać aż do 1816 roku, skoro jeszcze kilkadziesiąt lat, ale sporo lat po wojnie, temu zachowały się zwierzynieckie wiejskie relikty. Na Błoniach skubały trawę krowy, pasły się konie ze spętanymi nogami. Ulicą Prywatną, dzisiaj Młaskotów, z obory przy ulicy Kościuszki zmierzały ku Błoniom łaciate białoczarne holenderki. A w samym sercu dzielnicy, na przykład przy Kraszewskiego, w miejscu gdzie dzisiaj stoi wielkie błoczysko, rosły ziemniaki. Kilkadziesiąt metrów dalej przygarbiony staruszek w okularach grubych jak dna butelek, pielęgnował w inspektach rozsadę pomidorów, a kiedy nadeszło lato, krzaczki uginały się pod pomidorową czerwienią.

Tak było w centrum dzielnicy, kilkaset metrów od Alej Trzech Wieszców (oficjalnie nie ma w Krakowie ulicy o takiej nazwie, ale zwykliśmy w ten sposób nazywać trzy aleje – Krasińskiego, Mickiewicza i Słowackiego). A tymczasem nieco dalej, w pobliżu kopca Kościuszki, rozciągały się najprawdziwsze pola – szumiące zbożem nakrapianym kąkolami i chabrami. Dlatego my, chłopaki z 31 szkoły im. dr. Henryka Jordana, jeszcze w latach pięćdziesiątych żyliśmy na wiejsko-miejskim pograniczu.(...)

Kiedy mam chwilę czasu i ochotę na wspomnienia, wędruję, jak wielu moich kolegów – ulicami Półwsia. Wspominam piłkarskie szaleństwa na Błoniach – bramki naznaczone tornistrami, krowy z nienawiścią i lękiem spoglądające na piłkę. Sklepiki – małe, z ptaszkami z gumy nieustannie zanurzające dzioby w naczyniu z wodą – dowód na to, że jednak można skonstruować perpetuum mobile. Sklepiki jesienią prezentujące na wystawach pomidory o osobliwych kształtach, wielkie dynie i niebywałość – ogórki zakiszone w butelkach o tak wąskich szyjkach, że nie wiadomo, jak tam się dostały.

Przechodzę ulicą Prusa, która ciągle dla mnie jest Słoneczną i mijam szkołę. Starą budę, która też już jest inna – większa, z dobudowaną salą gimnastyczną – myśmy mieli małą, skromną. I jeszcze jedno zdziwienie – że ze Starej Budy z piskiem wypadają dziewczęta. Zdziwienie jest podwójne, bo – kolorowe, podczas, gdy koleżanki sprzed lat były granatowo-białe w odświętne dni, burawe w codzienne, zakutane w jakieś robione przez babcię swetry, w grubych pończochach zwanych „patentkami”. No i że w ogóle w szkole nr 31 uczą się dziewczyny, bo za moich czasów był to szkoła prawdziwa – męska, a dziewczęta chodziły do „dziewiętnastki” na placu Na Stawach, do szkoły nr 32, koedukacyjnej, przy Królowej Jadwigi, ale nie do szkoły imienia doktora Henryka Jordana.

Zjazdy koleżeńskie organizuje się w rocznicę zdania matury lub ukończenia studiów. My spotykaliśmy się w rocznicę ukończenia szkoły podstawowej nr 31. Na pomysł wpadł Marek, który zamknął swój warsztat i nie miał nic do roboty. Zebrał po parę złotych, obdzwonił kogo się dało, obejmował i spotkaliśmy się w naszej starej klasie, w starej budzie przy ulicy Słonecznej, zwanej dziś ulicą Bolesława Prusa, a pani Ryzakowa, nasza wychowawczyni, przeczytała listę obecności. Zjawili się nie wszyscy

– niektórzy odeszli na zawsze, inni wyemigrowali, jeszcze inni zawieruszyli się gdzieś, przepadli. Podobno niektórych pochłonął alkoholowy wir, z baru „Na Stawach”, z baru „Przystań” na rogu Kościuszki i Lelewela wciągnął na samo dno. Wstawaliśmy słysząc swoje nazwiska. Każdy opowiadał o sobie. A później poszliśmy do knajpki przy Kościuszki, małej, baraczkowatej, usytuowanej obok słynnej knajpy Dawidsona. Nie ma już Dawidsona, nie ma już knajpki malutkiej, ale chwała Markowi za to, że wynajął właśnie ją, a nie elegancki lokal w śródmieściu, że wynajął klezmerów – harmonię, skrzypce i banjo. Piliśmy pod galaretki z drobiu, szukając pod zmarszczkami pod siwizną rysów kolegów z podstawówki, przypominając sobie czas przeszły dokonany. A kilka lat później część z nas spotkała się na pogrzebie pani Ryzakowej i kiedy opuszczaliśmy salwatorski cmentarz, zdawaliśmy sobie sprawę, że za nami nikogo już nie ma, że odeszli rodzice, odeszli nauczyciele. (...)



Dziwnym zbiegiem okoliczności w osobach swoich absolwentów szkoła miała szczęście do zagorzałych miłośników Krakowa, w tym szczególnie dzielnicy Zwierzyniec czyli Półwsia Zwierzynieckiego. Z grona wspomnianych wyżej osób (Aleksander Kobyliński, Michał Kozioł, Andrzej Kozioł) swoją indywidualność zaznaczył również **Mieczysław Czuma** – dziennikarz, redaktor naczelny (1973 – 2000) tygodnika „Przekrój”, a także wspólnie z Leszkiem Mazanem, autor cyklu publikacji książkowych o Krakowie, jego mieszkańcach i historii wydobytej najczęściej spod warstwy oficjalnych faktów i zdarzeń. Tytuły tych prac już same w sobie świadczą o finezji i poczuciu humoru, z jakimi potraktowane zostały tematy książek, co nie umniejsza wartości merytorycznej tych publikacji: „Austriackie gadanie czyli Encyklopedia Galicyjska”, „Pępek świata nazywa się Kraków”, „Opowieści z krainy centusiów”, „Jacy? Tacy!”, „Maczanka krakowska, czyli świat z pawim piórem”, „Poczet serc polskich”, „To jest Kraków, mości Książę!” (do tej ostatniej dołożył swoje pióro Michał Kozioł).

Jako inicjator powstania „krakauerologii” czyli „wyższości Krakowa nad resztą świata”, Mieczysław Czuma przekazał swoje pasje córce Katarzynie Siwiec, która w dorobku posiada m.in. pozycje książkowe: „Andrusów król” i „Uśmiech Rabki”, a także jest współautorką „Madame, wkładamy dziecko z powrotem” i „Węgierska Małopolska”. Tak to bywa z zachowaniem ciągłości i kontynuacją, o czym wspominano tu już niejednokrotnie.

Mieczysław Czuma do naszej szkoły trafił w przełomowym okresie lat 1944 – 1951. Był to jeszcze czas wojny i okupacji, a i już czas przemian po jej zakończeniu. W swoim godzinnym monologu (maj 2012 r.) wspomina to tak:

Urodziłem się na Półwsiu Zwierzynieckim przy ulicy Słonecznej. Mieszkałem dokładnie naprzeciw naszej szkoły nr 31 pod numerem 21, tyle tylko, że moje okna wychodziły na drugą stronę tzn. na podwórko, skąd wówczas rozciągał się widok aż po stadion Cracovii. Na szkołę natomiast „miałem oko” prawie do końca studiów.

Moja pierwsza klasa, to niezwykła klasa: była to ta sama szkoła 31 z ulicy Słonecznej, ale mieściła się w klasztorze Sióstr Norbertanek. Byłem świadkiem tego, jak jej siedziba została zamieniona na koszary niemieckie. Mieściło się tu Hitlerjugend, a na wysokim drzewcu umieszczona była ich flaga.

Całe życie tutejszej dzieciarni toczyło się na podwórkach. Na podwórkach – nie na ulicach. I ja jestem wychowany przez takie podwórko. Cała ulica, wtedy Słoneczna, była niemiecka. Tutaj mieszkali wyłącznie Niemcy; na Słonecznej, na Fałata. Polskie były tylko cztery kamienice: 17, 19, 21 i 23, natomiast dozorcami byli wyłącznie Polacy.

Te zamieszkałe przez Polaków domy zostały zbudowane specjalnie dla urzędników magistrackich, dla pracowników wodociągów, ale głównie dla tramwajarzy. Mój ojciec był oberzefem woźnych magistrackich u pana prezydenta Kaplickiego. Mama chciała żebym nosił imię Janusz, a ojciec poprosił prezydenta, żeby trzymał jego pierworodnego do chrztu. Prezydent zgodził się, ale pod warunkiem, że będę nosił imię takie, jak on. To był cudowny człowiek, przechrzta, który przyjął imię i nazwisko polskie Mieczysław Kaplicki (właściwe nazwisko Maurycy Kapellner). Był Piłsudczykiem, legionistą, kolegą Władysława Beliny-Prażmowskiego, który wcześniej, przed nim, pełnił urząd prezydenta. M. Kaplicki ma wielkie zasługi dla Krakowa: uratował miasto od powodzi, asfaltował ulice, reorganizował finanse, za jego czasów powstał budynek PKO na Wielopolu, zaczęto budować Muzeum Narodowe, Bibliotekę Jagiellońską. On też stworzył pierwszy plan rozwoju Krakowa. Urząd Prezydenta Krakowa sprawował do roku 1939. Taki był mój ojciec chrzestny. Jestem z niego dumny i powinienem zrobić wszystko, by powstała ulica jego imienia.

Po wybuchu wojny ojciec mój znalazł się na froncie. Przeszedł cały szlak wojenny, a za uczestnictwo w walce pod Monte Cassino otrzymał Gwiazdę Italii, a także Order Jerzego VI za uratowanie życia członkowi brytyjskiej rodziny królewskiej. Przez całą wojnę byliśmy z matką sami. Mama była krawcową, więc szyła i „kombinowała” w różny sposób, by nas utrzymać, pracując na przykład w ogrodach miejskich. Mieszkał też u nas kuzyn mamy, który zatrudniał się jako szofer. To były ciężkie czasy.

Pamiętam, jak co jakiś czas pod kamienicę nr 21 podjeżdżał wóz załadowany brykietami bukowymi. Mieszkania były ogrzewane piecami kaflowymi. Kiedyś, pod naszą bramą zrzucano tego całą hałdę, do której podszedł chłopaczek w naszym wieku, zabrał dwa kawałki i zaczął uciekać. Adaś Koźmin, który mieszkał na pierwszym piętrze zaczął go gonić razem ze mną. Kiedy go dopadłem, ścigany oberwał po głowie odebranymi mu kawałkami brykietów. Rozciąłem mu głowę i polala się krew. Takie bitki między dziećmi się zdarzają, ale to był mały Niemiec i za to groziły poważne konsekwencje. Natychmiast nas ukryto i przez czas jakiś nie mieszkaliśmy w domu.

Ale wracając do życia podwórkowego... Teraz te wszystkie podwórka podzielone są według klatek schodowych w kamienicach, a wtedy nr 19 i 21 to było jedno wielkie

podwórko do dwóch kamienic należące i było jak boisko piłkarskie, gdzie grało się w piłkę, w „beki”. Za podwórkiem były działki uprawiane przez mieszkańców.

Jak już wspomniałem nauka szkolna odbywała u SS. Norbertanek. Codziennie zbieraliśmy się na dziedzińcu przy wejściu do kościoła po prawej stronie. Ustawialiśmy się parami i wędrowaliśmy za klauzulę na I piętro. W klasie panowała ciasnota. Mieliliśmy czasem takie sytuacje, że w pierwszych dwóch, trzech rzędach przerabiał się program I klasy, a w pozostałych np. program klasy V. Stanisław Hojak, jako dyrektor urzędował po prawej stronie wejścia na dziedziniec klasztoru Norbertanek. Jest tam krużganek, do którego prowadzą schody do góry. Tam była jego kancelaria.

A to, co się działo w budynku szkoły przy ul. Słonecznej podglądaliśmy tylko przez szpary. Najpierw koszarowali tam Niemcy, a po wyzwoleniu było wojsko radzieckie. Myśmy się temu wszystkiemu przyglądali. Najpierw żołnierze chodzili po budynku z kąta w kąt, potem wychodzili na zewnątrz, na ulicę Salwatorską, Kraszewskiego, aleję Focha. Chodzili i śpiewali. Defilady organizowali na Rynku Krakowskim. Gdy szedłem „do miasta”, to mama zawsze mówiła: „Uważaj, jak będziesz szedł przez aleje, bo może jechać jakieś auto”.

W 1948 roku aleją 3-go Maja jeździł tramwaj „czwórka”. Z Cichego Kącika przejeżdżała ulicą Piłsudskiego (wtedy Manifestu Lipcowego), skręcała w Straszewskiego, a potem w Szewską do Rynku. Był to tramwaj wąskotorowy. Natomiast druga linia wąskotorowa prowadziła z pl. Wolnica, Krakowską, Stradom, Grodzką, do Rynku, przez Bramę Floriańską, gdzie obniżono teren, aby pojazd się zmieścił, potem w prawo pod Barbakan i na Basztową.

W naszej kamienicy mieszkali głównie tramwajarze. Naprzeciw naszych okien, po drugiej stronie, mieszkał pan Tadeusz Polaczek, który był prezesem Krakowskiej Miejskiej Kolei Elektrycznej SA. Jest taka piękna willa na rogu Kraszewskiego i Salwatorskiej. To dawna willa Polaczka. Szef krakowskiego transportu tramwajowego wprowadził pierwsze linie szerokotorowe, linie dwutorowe oraz pierwsze linie autobusowe. Ponieważ w naszej kamienicy mieszkali tramwajarze, a Kraków ogarnięty był „tytułomanią”, to zapamiętałem jak się mówiło: Pani Motorniczowa Wąskotorowa, Pani Motorniczowa Szerokotorowa...

Ale wracając do stacjonującego w budynku szkoły wojska radzieckiego, to nie trwało długo, może jakieś pół roku. Wojsko pojawiło się w styczniu, a we wrześniu 1945 r. była inauguracja roku szkolnego i odbyła się już w gmachu przy ulicy Słonecznej, w największej z sal. Na górze była sala gimnastyczna, gdzie organizowano wszelkie uroczystości. Rozpoczęcie roku szkolnego 1945/1946 to było wielkie święto.



Również w tej sali odbywały się projekcje filmowe. Gromadziło się po kilka klas, przywożono projektor i pokazywano nam filmy oświatowe, krajoznawcze, przyrodnicze. Nie było czegoś takiego, jak multikina, a kina objazdowe funkcjonowały na prowincji. Taki spektakl dla kilku klas na raz trwał około godziny, a myśmy bardzo chętnie w nim uczestniczyli.

Takie mam wspomnienia ze szkoły. A poza szkołą, to Błonia, a na nich oczywiście piłka, piłka i piłka. Zasada była taka, że każda ulica, która wychodziła na Błonia miała w przedłużeniu swoje miejsce zajmowane przez chłopców z tejże ulicy. Ulica Kasztelańska miała swoje „boisko” u wylotu Kasztelańskiej, chłopcy ze Słonecznej mieli swoje w pobliżu tej ulicy, a ci z Kraszewskiego, też grali na swoim. Mecze rozgrywali chłopcy niekoniecznie z tej samej klasy. Najczęściej były to grupy z podwórka. Oczywiście po okupacji do kamienic wprowadzili się w miejsce Niemców nowi ludzie, ale nasza grupa spod numeru 19 i 21 trzymała się razem.

Było też boisko szkolne wysypane czarnym żużlem. Pamiętam, jak grywaliśmy tam w piłkę (ja byłem bramkarzem) i jak wyglądały nasze kolana. Tam też w pierwszych latach po wojnie odbywały się szkolne akademie np. pierwszomajowe i apele. W przypadku braku pogody przenoszono się na salę gimnastyczną.

Do Parku Jordana raczej się „chodziło”, niż w nim bawiono. Chodziło się za Niemców, chodziło się i potem. Prawdziwym miejscem wypadów były brzegi Rudawy pomiędzy al. Focha i Piastowską. Powyżej Piastowskiej biegano się na kąpiele, była tam cudowna pływalnia. W zimie natomiast do Sokoła, gdzie uprawiano jazdę na łyżwach.

Terenem dziecięcych zabaw były też działki rozciągające się z jednej strony aż po brzegi Rudawy, z drugiej za stadionem Cracovii w miejscu, gdzie potem wybudowano hotel Cracovia. Te ostatnie tradycyjnie, były polem bitwy. Zawsze, jak kończyły się wakacje całe Półwsie Zwierzynieckie staczało walki z chłopakami ze Śródmieścia. Walki te rozgrywały się na ziemniaki, pomidory i ogórki pochodzące z ogródków działkowych. Bez względu na wynik, największymi przegranymi byli właściciele działek. Dla nas też wynik nie miał większego znaczenia. Chodziło o Świętą Wojnę, a nie o ofiary.

Byliśmy też kibicami drużyn piłki nożnej: Wisły lub Cracovii. Zналиśmy te podziały – kto kibicuje Wiśle, a kto Cracovii. Tyle, że myśmy się nie bili i chodziliśmy razem na mecze, razem też siedzieliśmy w jednej ławce w szkole. Raz nasi, raz wasi – to się fajnie przeżywało.

Szkoła 31 była szkołą wyłącznie męską. Atrakcją były dziewczęta, które chodziły do „dziewiętnastki”. Z dziewczętami łączył nas też podwórkowy trzepak i wspólne nabożeństwa majowe. Na te majówki szło się jak na randkę. Szło i śpiewało „majówkę”, której słowa do dziś pamiętam.

Istniała też tradycja wyjazdów majowych na Bielany. Tam jechało się już całymi rodzinami. Do czterdziestego siódmego, jak jeszcze ojca nie było, jeździliśmy z mamą, ciotką, a potem to już z ojcem. Wsiadało się na tak zwane platformy, które stały pod

Norbertankami. Były to wozy z opuszczonymi bokami, umajone czymś zielonym, z ustawionymi w poprzek ławkami, zaprzężone w dwa potężne konie. Jechało się wolno, wyboistą drogą. Pod Norbertanki przyjeżdżali tramwajem ludzie z całego Krakowa, by przesiąść się na te platformy, a po dojechaniu rozłożyć piknik pod bielańskim klasztorem OO. Kamedułów.

Pamiętam też, jako osobliwość, jedną z zabaw dziecięcych będącą znakiem czasu, w jakim przyszło nam żyć. Zaraz po wojnie rozpoczął się tzw. szaber. Z opuszczonych przez Niemców mieszkań zaczęto wynosić (i handlować nimi) meble, naczynia i inne przedmioty domowego użytku. Dla nas, najlepszą zabawą było przedostanie się do takiego mieszkania (niektóre były zamknięte, inne pilnowane przez dozorców) i wykręcanie żarówek. Tymi żarówkami rzucaliśmy o ścianę i patrzyli, jak pękają i rozpryskują się. To była zabawa!

We wspomnieniach takich właśnie zabaw i beztróskiego życia tkwi chyba tajemnica niezmiennie dobrych wspomnień ze szkoły podstawowej. Był to okres nauki, ale i swawolnych igraszek. Nawet w tak ciężkich czasach, jak wojna i okupacja można było znaleźć przestrzeń dla realizacji dziecięcych pomysłów.



Przejdźmy teraz do kolejnego absolwenta, o nieco oryginalnej osobowości i ciekawym życiorysie, jakim jest pan **Wojciech Dąbrowski**. To już pokolenie powojenne. Uczniem szkoły 31 był w latach 1951 – 1955. Jest on również autorem książek i publikacji tyle, że przede wszystkim z dziedziny matematyki, więc zamieszczanie z nich cytatów byłoby zrozumiałe raczej dla wąskiego grona czytelników. Pan Dąbrowski, z wykształcenia matematyk (nauczyciel i dyrektor wielu krakowskich i warszawskich szkół) zajmuje się jednak zgoła czymś innym jak dydaktyka. Jest dyrektorem artystycznym kolejnych Ogólnopolskich Festiwali Piosenki Retro, organizatorem i uczestnikiem wielu imprez artystycznych, autorem tekstów, piosenkarzem, satyrykiem, dziennikarzem, a także instruktorem harcerstwa. Wszystkie te dziedziny łączy w sobie z równą lekkością i wdziękiem, jak poruszanie się po estradzie. Wystarczy zaglądnąć na jego stronę internetową (www.spotkaniazpiosenka.org), żeby przekonać się o jego niespożytej sile witalnej, energii i pomysłowości.

A oto jak pisze sam o sobie:

Naukę rozpocząłem we wrześniu 1951 roku w Szkole Podstawowej (męskiej) nr 31 przy ul. Słonecznej (dziś: Bolesława Prusa). Wychowawczynią klasy Ia była Jadwiga Ślęczkowska, dyrektorem Stanisław Hojak.



Wychowawczyni kl. Ia p. Jadwiga Ślęczkova. Rok 1952 r.
Zdjęcie nadesłane przez Wojciecha Dąbrowskiego

Chodzili ze mną do klasy m. in. Wiesiek Kozub i Andrzej Brzeski, Janusz Kowalik, późniejszy wielokrotny zawodnik i reprezentant „Cracovii”, dzięki któremu byłem jedyny raz w życiu na meczu piłki nożnej, Marian Dudzik, którego ojciec przez wiele lat wcielał się w krakowskiego Lajkonika i któremu towarzyszyliśmy rokrocznie z orszakami Młaskotów w jego przemarszu z Półwsia Zwierzynieckiego do Rynku, Janek Malik, który od dziecka podtrzymywał z ojcem tradycje rodzinne zdobywając nagrody i wyróżnienia w konkursach szopek krakowskich, a także (wymieniam tych, którzy wpisali się do mojego pamiętnika): Janusz Barański, Rysiek Baster, Kazio Chojnacki, Marek Eberhardt, Tomek Malinowski, Andrzej Miłkowski, Tadek Skowroński, Janusz Szczęsny, bracia Jacek i Krzysztof Wiechczyńscy.

Najbliższym kolegą z lat wczesnego dzieciństwa był Wiesiek Kozub-Ciembroniewicz (dziś profesor prawa w Instytucie Doktryn Politycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego), mieszkający z rodzicami i siostrą Halinką na parterze przy ul. Dojazdowej 3. Był starszy ode mnie o rok, miał przewagę fizyczną, górował nade mną pod każdym względem i narzucał mi swoją wolę. W dodatku imponował mi kolekcją ołowianych żołnierzy, prawdziwą kolejką elektryczną, strojem indiańskim i gwiazdą szeryfa oraz modelami amerykańskich coltów (!). Wszystko to pochodziło z paczek przysyłanych przez jego rodzinę zza oceanu, co w owym czasie stanowiło wydarzenie zgola sensacyjne. Inicjatywa zabaw zawsze należała do niego: on był policjantem, a ja złodziejem, którego on aresztował i trzymał w więzieniu pod stołem,

poddając wymyślnym torturom, on był Indianinem, a ja skalpowaną bladą twarzą, to ja byłem przywiązywany do pala męczarni albo rozstrzeliwany.

Innymi towarzyszami dziecięcych zabaw byli mieszkający w sąsiedztwie Jacek Włodarczyk, Bobek Kołaczkowski, Andrzej Rybka i Małgosia Skowronek, z którą... zaręczyłem się już w czwartej klasie.

W dzieciństwie zawsze marzyłem o zawodzie dziennikarza. Przez szereg lat wydawałem w domu własny magazyn ilustrowany. Zawierał on moje wiersze, opowiadania, a także cały dział rozrywek umysłowych.

Oczywiście był to jedyny egzemplarz, który po przystępnej cenie sprzedawałem rodzicom, po czym zabierałem z powrotem jako „egzemplarz redakcyjny”.

W styczniu 1953 roku (miałem wówczas 8 lat) numer 397 owego pisma – Obłoczek – trafił do redakcji „Przekroju” w ręce Ludwika Jerzego Kerna. Otrzymałem na firmowym papierze niezwykle list. Przechowuję go do dzisiaj jako największą pamiątkę.

Warto dodać, że wcześniej o swoich przygodach literackich Wojciech Dąbrowski wspomina cytując swoje zapiski z pamiętnika na przełomie roku 1950 i 1951 :

Zacząłem pisać Marcinka. Piszę różne przygody o nim, ale jeszcze przed Marcinkiem zacząłem rysować Okoliczkę. Ta Okoliczka to jest gazetka i tam też nawet piszę przygody.

W ten sposób 16-kartkowy zeszyt został zapisany w całości. Zacząłem wówczas wydawać gazetkę (16 kolumn), która początkowo nazywała się Okoliczka, potem została przemianowana na Obłoczek.

Niczym nieograniczoną fantazję literacką autora pamiętnika znakomicie ilustruje inny epizod:

„Od Sylwestra mam siostrzyczkę, Jolantę, o czym ma zaszczyt zawiadomić Wojtuś Dąbrowski.” Kartki o powyższej treści, starannie wykaligrafowane, rozsyłałem rodzinie z datą 2 stycznia 1951 roku. Jedną z nich odzyskałem i przechowuję w rodzinnym archiwum.

Czyż to wszystko nie wskazuje, że warto utrzymywać nawet drobne cząsteczki toczącego się życia?... Wzruszają, bawią, uczą... Takie małe znaki czasu...

Z osobą Wojciecha Dąbrowskiego, już całkiem dorosłego, łączy się inna historyjka. Po przeczytaniu w internecie „Dziejów Szkoły” zapragnął powrócić na „stare śmiecie”. Jeszcze raz usiąść w ławie szkolnej...

Wymyślił, że najpiękniej będzie uczcić ten powrót w dzień rozpoczęcia roku szkolnego. Tym bardziej, że w roku 2011/2012 przypadało 60-lecie przekroczenia przez niego po raz pierwszy murów szkolnych.

Nawiązał z nami kontakt mailowy i telefoniczny, wszystko zostało ustalone i... do Krakowa nie dojechał. Warszawski ekspres, który pozwala mu na regularne poruszanie się pomiędzy dwoma miastami, w tym jednym dniu akurat miał zmianę rozkładu jazdy z przyczyn technicznych. Na ten jeden dzień...

Kilkugodzinne opóźnienie nie zmieniło jednak dalszych planów Pana Wojciecha. Po przyjeździe, wraz z umówionym wcześniej kolegą ze szkolnej ławy, trafił do swojej dawnej sali lekcyjnej. Długo tam medytował, porównywał z obrazem zapisanym w swojej pamięci, zauważył niemal niezmienny widok za oknem, zwiedził piętra i korytarze i na koniec telefonicznie umówił spotkanie z jeszcze innym wspólnym kolegą. Nadesłane z tego spotkania zdjęcie przedstawiamy poniżej. Tak dziś wyglądają chłopcy z tamtych lat... Trochę tylko urosli...



Na zdjęciu powyżej, od lewej Marek Eberhardt (autor zdjęcia), Wojciech Dąbrowski i Andrzej Miłkowski, 1 IX 2011 r.



A tak wyglądali chłopcy w tamtych latach (kl. Ia, 1 V 1952 r.). Według opisu p. Marka Eberharda, który nadesłał nam tę fotografię, znajdują się na niej:
górny rząd, od prawej: Maciej Barański, Wiesław Kozub, Krzysztof Wiehczyński, Zdzisław Kowalski, Wojciech Dąbrowski, Andrzej Ulberski, ? Godlewski, Tomasz Jakubiec, ??, ??, Marek Eberhardt. Dolny rząd od lewej: ? Moskwa, pan z Filharmonii, Attila Jamrozik, Marek Majkowski, ??, Zdzisław Dudzik?, ??.



Tym kolegą wspólnie z p. Wojciechem Dąbrowskim zwiedzającym szkołę był p. **Marek Eberhardt**. Rozmowa z nim, w oczekiwaniu na przyjazd kolegi była długa, spokojna, jak wolno płynący nurt rzeki niosący z sobą nieujawnione widoki mijanych po drodze miejsc. Urzekające jest, że wszystkie napotkane osoby wracają do starej szkoły z sentymentem, z dobrymi wspomnieniami, w których niejednokrotnie powtarzają się te same wątki, postaci, klimaty.

Pan Marek Eberhardt opowiedział nam też ciekawą historyjkę. Otóż z zaufanym kolegą szkolnym postanowił po raz pierwszy (i ostatni w szkole podstawowej) wybrać się na wagar. W tym czasie trwała nadbudowa drugiego piętra, gdzie powstawała sala gimnastyczna i nowe sale lekcyjne. Burzenie starej konstrukcji powodowało drgania sufitu, z którego nagle oderwała się ciężka lampa spadając prosto na pustą ławkę, w której powinien wtedy zasiadać uczeń Eberhardt.... Potwierdzenie przysłowia: „Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło”?... Czy może coś więcej?...

A że szkoła (i oczywiście rodzina) dobrze wypełniła swoje zadanie, świadczą o tym dalsze lata życia wagarowicza: matura w V Liceum Ogólnokształcącym im. A. Witkowskiego, dyplom magistra inżyniera na Wydziale Mechanicznym Politechniki Krakowskiej, 39 lat pracy zawodowej (w tym 7 miesięcy internowania

Jeszcze raz wypada mi wrócić do osoby Pana Wojciecha Dąbrowskiego. W czasie jego wizyty padł bowiem pomysł napisania przez niego hymnu Szkoły Podstawowej nr 31 w Krakowie, którego to placówka nie ma i nigdy nie posiadała. Stropiona Pani Dyrektor nie wiedziała, jak dać do zrozumienia, że resort oświaty jest permanentnie niedofinansowany i szkoła nie znajduje środków na należną gratyfikację. W przypadku Pana Dąbrowskiego szczęśliwie okazało się, że to żaden problem, bo jako absolwent, poczytuje sobie wręcz za zaszczyt obdarowanie placówki tego rodzaju prezentem. W dodatku p. Wojciech niejedyn taki hymn napisał i wprawę w komponowaniu melodii też ma. Z obiecanego „aktu dobrej woli” wywiązał się solennie i w maju AD 2012 nadszedł tekst i muzyka. Tekst ma tę znakomitą cechę, że w dwóch, trzech słowach tej krótkiej formy wierszowanej zawiera treści, o których mówi się dużo i długo. W przyczynkach do dziejów szkoły stanowi niebagatelny dodatek, stąd wraz z zapisem nutowym i dedykacją zostaną tu przytoczone w całości.

53

NA ZWIERZYŃCU, GDZIE MIESZKA LAJKONIK

*Tekst dedykowany uczniom, nauczycielom i absolwentom
SP 31 im. Henryka Jordana w Krakowie z okazji 200-lecia Szkoły (2012)*

muzyka i słowa: Wojciech Dąbrowski (uczeń szkoły w latach 1951 – 1955)

1.

Na Zwierzyńcu, gdzie mieszka Lajkonik,
Skąd Mlaskotów szedł orszak wesoły,
Od pokoleń, gdy dzwonek zadzwoni,
Co dzień rano biegniemy do szkoły.
Nawet wiatr, co przyleciał spod Kopca,
Gdzie z Rudawą spotyka się Wisła,
Śpiewa pieśń o dziewczętach i chłopcach
I o naszych szalonych pomysłach.

Refren:

Tu od dwustu lat, swój znaczymy ślad,
Ale jeszcze zostało coś dla nas,
Z książką za pan brat odkrywamy świat,
Spadkobiercy Henryka Jordana.

2.

Skąd te wieńce laurowe na skroniach?
Trzeba tylko mieć głowę na karku!
Gdy po lekcjach biegniemy na Błonia,
Doktor Jordan zaprasza do Parku.
Po uśmiechu nas łatwo poznać,
Zawsze prosto zmierzamy do celu,
A gdy będziesz miał kłopot, mój bracie,
Niezawodnych przyjaciół masz wielu.

Refren:

Tu zostanie ślad naszych szkolnych lat,
Rozśpiewana gromado kochana,
Z książką za pan brat chcemy zmieniać świat,
Spadkobiercy Henryka Jordana.



A jak wspomina szkołę 31 jeszcze młodsze pokolenie? Korzysta z najnowszych technik porozumiewania się. Krótko i lapidarnie. Wymiana zdań i opinii – najlepiej w internecie. Sięgnijmy po „Naszą klasę”.

Rocznik 1966 szkołę zaczynał w roku 1973, a rocznik 1968 – w roku 1975. Byli uczniowie wspominają p. Janinę Szczepan-Skrobacką, p. Janinę Surówkę, p. Bożenę Ostachowską-Kos i wielu innych nauczycieli, ale szczególną inspiracją do wymiany zdań jest osoba matematyka, pana Bronisława Ilnickiego. Świetny nauczyciel przedmiotu, ale ostry, wymagający, u większości budzący strach na swoich lekcjach, uciekający się nawet do kar cielesnych. Słynął z niesamowicie bolesnego nacierania uszu, szarpania, miętoszenia. Lżejszą karą było rolowanie ucha.

O dziwo jednak, z perspektywy lat doznane przykrości uzyskały status wspomnień, a osiągnięte korzyści z dydaktycznych umiejętności nauczyciela matematyki, docenione. Jedna z uczennic tak o nim pisze:

(...) każda lekcja, to był wielki stres (przynajmniej dla większości z nas), ale po latach bardzo dobrze go wspominamy. (...)

Ktoś inny tak to komentuje:

(...) koledzy nieraz cierpieli – nawet jeden, który aktualnie jest docentem matematyki i fizyki na UJ!!! Ciekawe: dzisiaj nie byłoby to możliwe. (...)

Przy okazji... Zabawną historyjkę, bardziej dotyczącą pani dyrektor Janiny Skrobackiej, ale w wykonaniu pana Ilnickiego opisuje były uczeń Marek Serafin:

Znalazłem kiedyś prezerwatywę (zapakowaną), w drodze do szkoły, a miałem wtedy 9 lat. Nie bardzo wiedziałem co to jest. Koledzy z klasy zawyrokowali, że to fajny balonik i wymyślili, aby nalać do niego wody. Niestety czujne oko prof. Ilnickiego zniweczyło naszą zabawę. Zaprowadził mnie do pani dyrektor Skrobackiej i kazał pokazać, co tam mam... Zarumieniona pani dyrektor stwierdziła, że to... balonik, więc pan Ilnicki powiedział, że w takim razie nic się nie stało. Byłem wolny...

Sytuacja ta przerodziła się chyba jednak w anegdotę, bo inny były uczeń pisze:

Za moich czasów zdarzył się podobny incydent. Na pytanie Szttyfa (przezwiśko p. Ilnickiego): »gdzie to znalazłeś? « odpowiedź padła, że w drodze na religię (u Norbertanek). »To co, ksiądz to zgubił?... Upominam... pięć upomnień... niezaliczenie«.

Pan Ilnicki słynął z całego systemu zaliczeń i punktacji, które dopiero w ostatecznym „rozrachunku” sprowadzane były do oficjalnie stosowanej skali ocen.

Mimo to np. jego uczeń Jerzy Konik pisze:

(...) to była osobowość. Czy ktoś z was może powiedzieć, że ocena była niesprawiedliwa? Ja nie znam nikogo takiego. Miał on dar uczenia, który śmiało można nazwać „łopatologią”. Sztyf „obrabiał” nas, jak swój kawałek ziemi na Woli Justowskiej (...), na której rosło to, co rodzinie potrzebne było do życia. I on traktował nas, jak swoją działkę. Dbał o nas, zasilał wiedzą, plewił złe nawyki, obserwował, a jak zauważył genetyczne odклонienia od normy, „prostował” wszelkimi dostępnymi metodami. (...) Nie miałem lepszego nauczyciela w życiu, nauczyciela życia.

A Grzegorz Rybicki uzupełnia:

Sztyf niewątpliwie uczył matematyki w mądry sposób. Na studiach bardziej przydawała mi się wiedza nabyta od niego (...), niż ta, którą wbijano mi w liceum.

Ciekawe, że wśród obiektów zainteresowania internautów znalazła się osoba woźnego szkolnego pana Józefa Pałki, czyli po prostu „Józia”. Pisałam wcześniej, że na ogół były to postaci wielce znaczące w życiu uczniów i oto jest potwierdzenie. Ze względu na wyjątkowo długi staż pracy w szkole (1965 – 2000), przedłużony o dalszą obecność na zasadzie rezydenta, pana Józefa pamiętają całe pokolenia, aż do tego najmłodszego. Pan Józiu jest już na emeryturze, ale nadal mieszka w budynku szkolnym, co zapewniono mu dożywotnio. I stał się człowiekiem-legendą, bo tak określają go niektórzy.

Były uczeń Włodzimierz Dyduła pisze o nim:

Józiu, to był Józiu. Na początku lat 60-tych był tercjanem. Chodził z wielkim dzwonkiem, gdy nie było prądu i dzwonił na przerwy. To były czasy. Łza się w oku kręci.

Również absolwent Artur Palimąka wspomina:

Odkąd pamiętam, a były to czasy prehistoryczne tj. 1971 rok – to woźny Józiu był i nadal jest w naszej szkole. Po prostu jest legendą tej szkoły. Przeżył wiele pokoleń uczniów i przeżyje następne. Po prostu niezniszczalny człowiek.

A przedstawiciel pokolenia z roku dwutysięcznego kontynuuje:

(...) a ja skończyłem tę szkołę rok temu i pan Józek trzyma się twardo na nogach i ma nowego psa (...) W weekend zawsze przed meczem (Cracovii, której jest wręcz kibicem-fanatykiem – przyp. red.) siedzi z kumplami weteranami na murku przed szkołą i obstawiają wyniki. (...)

Ktoś inny, równie młody, pisze:

*Oj, wożny Józiu był i jest the best xDDD, nie ma takiego drugiego:
D ehh...,*

albo:

(...) no, jak byłem jakiś miesiąc temu, to nawet mnie poznał. I nic się nie zmienił, jest dalej taki super spoksik, jak był! Pozdro dla niego.



Jeśli kogoś interesuje, jak postrzegają swoją szkołę jej aktualni uczniowie, właśnie w tym historycznym momencie dobiegania dwusetnego roku od chwili jej powołania do życia przez SS. Norbertanki, odsyłam do kilku prac szóstoklasistów, uczniów pani Elżbiety Janeckiej – nauczycielki języka polskiego. Zainspirowani tematem „Moja szkoła” w kontekście jubileuszu, potraktowali zadanie bardzo indywidualnie. Choć powtarza się w zasadzie podobna forma opisowa, to każdy z zacytowanych tekstów ujawnia bardzo osobiste spojrzenie młodego autora. Każdy z nich patrzy na szkołę trochę inaczej i dostrzega w niej coś innego, co jego zdaniem jest znaczące dla tej instytucji. Jedna z uczennic nawet dosłownie tak ją nazywa: instytucja.

Szkoła nr 31 w Krakowie, ul. Bolesław Prusa 18 im. dr Henryka Jordana jest instytucją i została założona 200 lat temu. Szkoła ta jest przyjazna dzieciom, sprzyja rozwijaniu zainteresowań i nowych umiejętności. Organizowane są konkursy, turnieje itp. W bieżącym roku wielu uczniów zajęło wysokie miejsca w konkursach przedmiotowych.

W S.P.31 nauczyciele dbają o uczniów powierzanych ich opiece, pomagają, przygotowują do konkursów, wspierają.

Instytucja ta oferuje szeroki wachlarz zajęć dodatkowych. Oto niektóre z nich:

- kółko przyrodnicze*
- kółko jęz. niemieckiego*
- kółko historyczne*
- SKS (Szkolny klub sportowy)*
- UKS (Uczniowski klub sportowy)*
- zajęcia na basenie*
- chór szkolny*
- Ekoludek*
- zajęcia wyrównawcze z jęz. polskiego*
- zajęcia wyrównawcze z matematyki.*

Szkoła nr 31 organizuje liczne wycieczki, wyjazdy (na zawody) Białe i Zielone Szkoły, odbywające się co roku. Podczas tych wycieczek opieka nauczycieli jest pierwszorzędna. Uważam, iż moja szkoła zasługuje na miano świetnej. Ponieważ chodziłam kiedyś do innej szkoły, mam porównanie: S.P.31 jest szkołą idealną.

Anna

Moja szkoła (...) przy ul. B. Prusa 18. Jest to duży, dwupiętrowy budynek, powstały 200 lat temu, ogrodzony niebieskim płotem. W 2011 roku obchodzone było 100 lecie nadania numeru szkole.



Znajdują się w niej 33 sale, m.in.: informatyczna, językowa, polonistyczna, historyczna oraz świetlica i zerówka. Wszystkie ozdobione są kwiatami i dekoracjami zrobionymi przez uczniów. Sala polonistyczna (nr. 22) jest największa i jako jedyna posiada tablicę interaktywną.

Na każdym piętrze są ubikacje, a w podziemiu znajdują się kuchnia i stołówka. Na parterze mieszczą się szatnie, sekretariat, biblioteka i pokój higienistki. Trzy sale gimnastyczne robią

wrażenie, zwłaszcza ta największa z trybunami, która została dobudowana do budynku szkoły jakiś czas temu. Odbywają się w niej zawody międzyszkolne i wszystkie ważne uroczystości. Co roku można zdobywać puchar dyrektora szkoły, a na apelu na zakończenie roku wymieniani zostają uczniowie o wysokiej średniej, czerwonym pasku i wpisie do „Złotej Księgi”. To duże wyróżnienie.

Każdemu poleciłabym wpisanie się do tej szkoły.

Ania

Jak co dzień przychodzimy do naszej szkoły z uśmiechem. Zawsze wita tam nas ogromna brama. Szkoła w tym roku, w październiku skończy 200 lat. A w zeszłym roku przyszła telewizja TVN, żeby nakręcić jak obchodzimy stulecie nadania numeru szkole. Szkoła składa się z dwóch części, jedna to duża, zadbane sala gimnastyczna, a druga to dwupiętrowy budynek. W nim znajdują się sale lekcyjne, między innymi językowa (sala 24), matematyczna (sala 20), polonistyczna (sala 21) i historyczna (sala 19). Każda sala jest ładnie ozdobiona przez uczniów i nauczycieli. Są tam zadbane nowe meble. W sali przyrodniczej (sala 25) jest mnóstwo przyborów do nauki: manekin człowieka z sercem, wątrobą, jelitami i tp. Na korytarzach stoją długie ławki i na każdej lekcji panie sprzątające sprzątają je i łazienki, gdzie zazwyczaj jest papier toaletowy i do rąk. Korytarz na parterze jest przystosowany do małych dzieci, bo na ścianach są namalowane kwiaty, owady i tp. Na pierwszym i drugim piętrze witają nas żółte ściany. Na sali gimnastycznej znajdują się trybuny i można tam grać w hokeja, piłkę nożną i ręczną, koszykówkę i siatkę. Nauczyciele przywiązują wielką wagę do nauki i naszego samopoczucia, są mili i dbają o nasze bezpieczeństwo. Z naszej szkoły wyszło wiele zdolnych ludzi. Uczniowie uwielbiają tu się uczyć i nawiązywać nowe przyjaźnie.

Ola

Nazywam się Aleksandra i chodzę do cudownej 200-letniej szkoły. Leży ona na ulicy Bolesława Prusa. Ma ona ogródek, a w nim drzewa z zakręconymi pniami. Najlepsze

jest to, że „stróżem” szkoły jest słodki pies Czarek, jest on maskotką wszystkich uczniów.

Osobiście uważam, że nasza szkoła jest zadbaną placówką tego typu. Na parterze ustawione są drewniane ławki. Ściany są pomalowane na różowo, a w tle są motylki, słoneczka i ślimaki. Ściany na 2 i 3 piętrze są żółte i oddają wrażenie ciepła. Łazienki w całej szkole są wyłożone białymi kafelkami, które sprawiają wrażenie czystości i nie ukrywam takie są. Sale w naszej szkole są fajnie urządzone mamy tu ładne ławki i meble, ale zawsze zazdroszczę nauczycielom tych fajnych obrotowych krzeseł. Uwielbiam naszą szkołę bo są tam np. woźni którzy są bardzo śmieszni i fajni, a dzięki nim nawet lzy zamieniają się w szczery uśmiech. Muszę jeszcze zaznaczyć, że mamy tu zapewnione bezpieczeństwo, przed wejściem do szkoły stoi budka z taką fajną panią, która do szkoły wpuszcza tylko „uprawnionych” ludzi. Bardzo ważne jest to, że w każdej sali jest telewizor (najfajniejszy jest w 20 bo biały i duży) no i to, że panie czasami pozwalają na lekcjach oglądać filmy.

Nasza szkoła jest najlepsza bo „stwarza” takie fajne wspomnienia. Jestem także pewna, że nie wymarzę jej z mojej pamięci.

PS: Zapomniałam jeszcze, że nasza szkoła prowadzi różne kółka i bierze udział w wielu konkursach.

Aleksandra

Szkoła podstawowa nr 31 (...) ma już 200 lat. Znajduje się przy ul. Bolesława Prusa 18. Dyrektorem tej placówki jest mgr. Agata Wosińska i mgr. Małgorzata Wątkowska. W szkole są wspaniali nauczyciele którzy bardzo dobrze uczą dzieci. W tej szkole odbywa się dużo konkursów, a na stołówce wydają pyszne obiady. Atmosfera jest niesamowita, wszyscy są mili dla innych. Organizowane są wycieczki m.in. kółko Ekoludek.



Ta szkoła ma wysoki poziom, więc zachęcam wszystkich, aby zapisali się do niej. Nie będziecie żałować, bo w naszej szkole nie da się nudzić.

Patrycja

Szkoła Podstawowa nr. 31 (...) ma już 200 lat. Znajduje się przy ul. B.Prusa 18. Odbywa się tu dużo konkursów.(...) Jest dużo klas. Od „zerówki” do szóstych klas. Nauczyciele, którzy nas uczą są fajni. W stołówce pracują panie, które gotują obiady. Niektóre obiady nie są smaczne ale raczej są dobre. W szkole jest wysoki poziom lecz wszyscy sobie radzą. Zachęcam was byście się tu zapisali i ukończyli właśnie tą szkołę. Ta szkoła jest jedna z najlepszych.

Zuzanna

Chodzę do szkoły podstawowej nr. 31(...). Powstała 200 lat temu, a w 1912 r. nadano jej numer. W mojej szkole dzieje się bardzo wiele. Często są zbiórki darów dla zwierząt w schroniskach czy dla biednych rodzin. Każdy chętnie bierze w nich udział. Nieraz odbywają się tu różne konkursy, np. piosenki anglojęzycznej. Obchodzimy też wiele świąt, czasem klasowo, a innym razem w całej szkole. m.in. z okazji przyjścia wiosny mieliśmy się ubrać na zielono. Oczywiście zawsze, kiedy jest Wielkanoc lub innego typu święta częstujemy nauczycieli tym, co przynieśliśmy. Wiele razy na apelach z okazji pasowania pierwszoklasistów albo np. początku roku szkolnego występuje chór i są przedstawienia. Bardzo to nam się podoba. Niedawno mieliśmy spotkanie z policjantami, którzy mówili nam o bezpieczeństwie. Tu się nigdy nie nudzimy. W naszej klasie pamiętamy o Dniu Nauczyciela (o innych zresztą też), na Mikołajki obdarowujemy się prezentami, a w Boże Narodzenie urządzamy „śniadanie”, pełne mnóstwa pysznych rzeczy – w końcu sami to robimy. Mamy też kronikę szkolną. Jest w niej już wiele wpisów i ciągle dochodzą inne. Uważam, że moja szkoła jest bardzo ciekawa bo ciągle się w niej coś dzieje. (...) Dlatego wiem, że tutaj nie ma miejsca na nudę.

Kornelia

Szkoła Podstawowa numer 31 (...) to szkoła sportowa z klasami w dyscyplinach narciarstwo i gimnastyka artystyczna. Mieści się na ulicy B. Prusa. Jest to bardzo dobra lokalizacja ze względu na bliskie sąsiedztwo pętli tramwajowej i autobusowej na Salwatorze. Poza zajęciami lekcyjnymi obejmującymi obowiązkowy program nauczania szkoła posiada także bogatą ofertę zajęć poza lekcyjnych (...). Organizowane są także zajęcia sportowe: SKS oraz liczne konkursy i zabawy. Istotnym plusem tej szkoły jest także dobre wyposażenie sal lekcyjnych i piękna duża sala sportowa, gdzie uczniowie klas sportowych doskonalą swoje umiejętności. W naszej szkole pracują wykwalifikowani nauczyciele, którzy pomagają uczniom w zdobywaniu dobrych stopni i w wygrywaniu różnego rodzaju konkursów, panuje tu miła rodzinna atmosfera.. Wszystko to sprawia, że uczniowie naszej szkoły są zawsze uśmiechnięci i zadowoleni, a po latach miło wspominają czas spędzony w szkole.

Barbara



W mojej szkole bardzo dużo się dzieje. W zeszłym roku wszyscy obchodzili 100-lecie nadania numeru 31 szkole. Z tej okazji zorganizowano specjalną uroczystość. Na dużej sali gimnastycznej zbudowano scenę, na której występował chór i uczniowie z kółka teatralnego. Pozostali uczniowie byli ubrani na galowo, a nauczyciele odświętnie. Była to chyba najważniejsza uroczystość w mojej szkole.

Druga, również ważna uroczystość to 200-lecie powstania szkoły, która będzie obchodzona w październiku 2012 r. Mojej klasy już nie będzie wtedy w szkole podstawowej, gdyż rozejdziemy się do gimnazjów (...). Mimo tego być może będzie możliwość uczestniczenia w tym święcie również przez moją klasę, ponieważ bardzo żyliśmy się z naszą szkołą i nauczycielami. Trudno będzie się nam rozstać i dlatego chętnie będziemy wracać do szkoły nr 31 przy nadarzających się okazjach.

Julia

Teksty uczniów różnią się od dotąd przytaczanych tym, że opisują szkołę tu i teraz. Dotychczasowe wspomnienia ustępują nagle miejsca rzeczywistości. Młodzi autorzy są bowiem aktualnymi uczestnikami szkolnego życia. Kiedyś zakończą ten etap, i u nich czas teraźniejszy również stanie się wspomnieniem. Ciekawe, czy podobnie, jak u starszych od nich pokoleniowo absolwentów będą to wspomnienia równie bogate i żywe?

Zastanawiająca jest bowiem pewna ubogość tych opisów. Skrótowość i oszczędność w słowach zdają się panować nad emocjami, które tu aczkolwiek obecne, nie wydają się spontaniczne. Może wydawać się nieuprawnione porównanie naszych nastolatków do starszego pokolenia absolwentów, ale nie da się zaprzeczyć, że spontaniczność jest w człowieku niezależna od jego wieku. A wyzwala ją działające na nią bodźce...

Czyżby teraźniejszość miała bledszą kolorystykę? Czy życie jest teraz bardziej szare? A może jest szare tylko w teraźniejszym odbiorze?... Tu i teraz! Może dopiero potrzeba dystansu, by dało się zauważyć to, co zostało pominięte, niezauważone, powszednie?

A może to już inne pokolenie, inna jakość życia, inna skala wartości... inna „instytucja”?... Hmm...

I tak doszliśmy do czasów dzisiejszych. W 2012 szkoła obchodzi dwustulecie swojego istnienia. Może ktoś dopisze ciąg dalszy jej dziejów, bo historia na pewno nie zatrzyma się w miejscu.

KONIEC

Ewa Szeremeta
Kraków, czerwiec 2012 roku

Zdjęcia pochodzą z archiwów prywatnych i kronik szkolnych.

Składnia i interpunkcja wszystkich cytowanych tu wypowiedzi zostały zachowane w oryginale.

Pogrubioną czcionką (boldface) wyróżniono nazwiska osób, których wypowiedzi i teksty zostały wykorzystane w niniejszym opracowaniu.

P.S.

Już po zakończeniu zbierania materiałów i niemal zamknięciu ich opracowywania doszła do nas smutna wiadomość o śmierci jednego

z „bohaterów” „Przyczynków do Dziejów Szkoły”, p. Stanisława Cyrano. Żywo zainteresowany powstającym tekstem, nie doczekał jego publikacji. Tak, jak odchodzą tamte czasy, odchodzą i ich świadkowie. Nieubłagany bieg historii...

Oddając cześć Jego pamięci czuję się w obowiązku przekazania wszystkiego, co od Niego otrzymałam, a co nie znalazło miejsca pierwotnie, pewnie z przyczyn ograniczania wypowiedzi i dania wszystkim równych szans. Uprzytomniłam sobie tym jaskrawiej, jak cenne jest każde słowo i jak trzeba je chwycić, nie dając mu umknąć, bo nigdy już może nie zostać wypowiedziane.

Korespondencja ta nadeszła 10 V 2011 r. na adres mojej skrzynki e-mailowej. Potem Pan Stanisław zamilkł. Myślałam, że z powodu przerwy wakacyjnej, ale On już nigdy się nie odezwie... Dużo później, od Jego Rodziny, dowiedziałam się, że odszedł na zawsze.

W swoim ostatnim e-mailu napisał:

Z głębokim wzruszeniem oglądam kserokopie arkuszy ocen z roku 1938/1939, jakie dotarły do moich rąk po siedemdziesięciu latach, dzięki życzliwości pani Ewy Szeremety...

49 nazwisk! Aż dziw, że zaledwie kilka z nich nie kojarzy mi się w pamięci ani z żadnym wydarzeniem, ani twarzą. Większość ożywa i otacza mnie w wyobraźni hałaśliwą gromadką... Pamiętam dokładnie nie tylko tych, których widywałam codziennie – bo byli sąsiadami – jak Rysia Kartena, czy Zdzisia Lejko, ale i tych z którymi dzieliłam szkolną ławę zaledwie przez dwa lata, jak na przykład dwóch Żydów – Wolfa i Silfena, którzy zwracali naszą uwagę przede wszystkim imionami zupełnie nie pasującymi do ich narodowości: obaj nosili królewskie imiona – Zygmunt. W ogóle nasza klasa – a właściwie nasza gromadka, bo większość dotrwała aż do siódmej klasy – była wyjątkowo barwna, jak szkiełka w kalejdoskopie. Każdy z nas czymś się wyróżniał, jeśli nie wyglądem, czy zachowaniem, to jakimś zdarzeniem, czy otoczeniem, z którym zawsze był kojarzony.

No bo jak można zapomnieć choćby takiego ucznia, który wśród kilkudziesięciu kolegów licytujących się ilością ocen „bardzo dobry” – pozostaje na drugi rok w klasie, mimo że nosi nazwisko MAŁY.

W nowym roku szkolnym 1939/1940 przybył do naszej klasy nowy kolega Władek Suski. Wesoty, koleżeński i bardzo ruchliwy mimo kalectwa: chromał na jedną nogę. Mimo tej zauważalnej niepełnosprawności brał udział we wszystkich naszych zabawach, a nawet grał w piłkę. Zaprzyjaźniłem się z nim na tyle, że gdy opuścił naszą szkołę w roku 1942 przenosząc się z rodziną do Lublina, długo prowadziłem z nim korespondencję. Do dziś zachował się w moich szpargałach list od niego, w którym dopytuje mnie o naszego wspólnego kolegę Zenka Kizlicha. Nazwisko

Kizlicha odnajduję teraz w kserokopii arkuszy ocen z roku 1938/1939, jakie dostałem od pani Ewy Szeremety...

Pamiętam Zenka, a jakże, tak jak wielu innych. Nie tylko dlatego, że na zdjęciach pamiątkowych z I-ej Komunii św. stoi obok mnie i za każdym razem, gdy zaglądam do archiwalnego rodzinnego albumu widzę jego charakterystyczną fryzurkę „na pazia”, ale dlatego, że był „jednym z nas” – tym od „Jordana”. I tak sobie myślę dlaczego wszyscy i wszystko co ma jakikolwiek związek z pierwszą w życiu szkołą, tak mocno utrwaliło mi się w pamięci, jako coś nie tylko ciepłego, przyjaznego, ale także bardzo ważnego; tak ważnego, że byle jaki skrawek papieru, postrzępiony zeszyt, czy stary podręcznik z koślawymi uwagami na marginesie wydaje się godny zachowania i to z pieczołowitością należną najdroższym pamiątkom.

Przecież w ciągu tych osiemdziesięciu lat, jakie mam za sobą wydarzyło się także mnóstwo rzeczy i ważnych i tragicznych i wartych zapamiętania, że ten zaledwie kilkuletni szczenięcy epizod powinien już dawno pogrążyć się w mgłę zapomnienia...

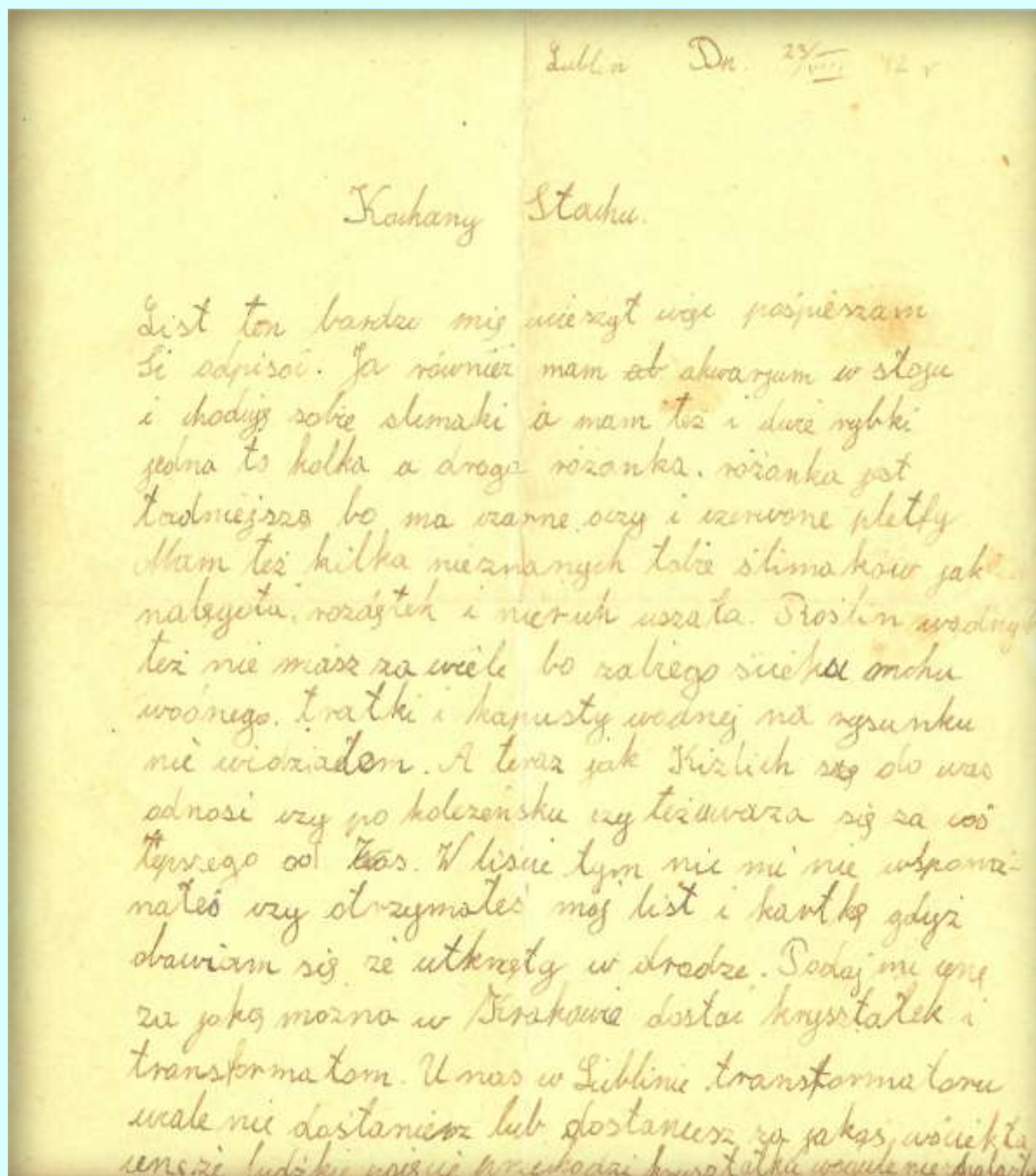
Tymczasem, gdyby ktoś teraz zapytał mnie jaki krawat wiązałem sobie w dzień ślubu, albo jak wyglądało biurko przy którym siedziałem przez dwadzieścia lat – miałbym poważne trudności z odtworzeniem choćby z grubsza tych szczegółów; natomiast doskonale pamiętam nasze szkolne ławy z pierwszych lat nauki. Solidne, mocne meble w których siedzisko połączone było w jedną całość z pulpitem. Pulpitem ergonomicznie pochylonym, z rowkiem, w którym kładło się ołówek i obsadkę ze stalówką oraz dwoma otworami na szklane kałamarze wypełnione atramentem, którego poziom był codziennie sprawdzany i uzupełniany przez TERCJANA (nie był to żaden „pedel”, ani „woźny”, tylko właśnie TERCJAN). Tercjanem w tamtych latach nazywał się Madej i mieszkał w budynku szkolnym, do którego wchodziło się po schodkach z ogródka przylegającego do ulicy Senatorskiej. Ten ogródek był prawdziwą ozdobą ulicy Słonecznej⁵. Przechodnie często przystawali przy ogrodzeniu i z podziwem oglądali przez pomalowane na zielono sztachety precyzyjnie uformowane rabaty kwiatów i przeróżnych warzyw. To ogródkowe cudenka było codziennie pracowicie pielęgnowane przez żonę i syna pana Madeja. Dziś mógłbym wskazać, gdzie zawsze w maju czerwienił się równiutki rząd tulipanów, a gdzie grządka młodego szczypiorku wyglądała jak zielona szczotka. Czyżby to było ważniejsze od ślubnego krawata i szacownego miejsca przy którym zarabiał się na utrzymanie rodziny?

A jednak. A jednak właśnie te czerwone tulipanki, te szklane kałamarze tkwiące w otworach pulpitów pozostaną w pamięci na trwałe. Tak jak pamiętać będę podłogi w naszych klasach. Drewniane, solidne, czarne od jakichś nieznanych substancji konserwujących i pachnące dziegciem. Najmocniej pachniały w pierwszych dniach po powrocie z wakacji. Podłogi w korytarzach wyłożone były płytkami ceramicznymi, ale w klasach były drewniane. Jakies takie bardziej przyjazne, cieplejsze... Nie można ich zapomnieć. No właśnie. A krawat?... zapomniałem. I nie żałuję. Ale żal by mi było

⁵ Ogród szkolny usytuowany był u zbiegu ulic Senatorskiej i Słonecznej (przyp. red.)

gdybym nie mógł sobie przypomnieć jak wyglądała moja kochana szkoła, moi koledzy i kochani belfrowie...

Na koniec p. Cyrano przesłał kopię listu od kolegi, o którym wcześniej wspomina. Pożółkły papier, dziecięcy świat zupełnie odmienny od dzisiejszego, zabawki, które dziś już raczej nie bawią. Tak niedawno, a jednak tak odległe... Małeńki znak czasu... Zamieszczam go w całości.



Widziałem zato uśpianą tą miniaturową elektrownię
poruszającą parą z kieszonką aparatu benayna o nasi-
lenie prądu nie pytałem się lecz widziałem ją na
wystawie. Elektrownia ta stała w kącie wystawy
a na środku były szyny i poisk który zjadał
poruszający prąd z elektrowni która była w
ruchu. Jakbyś zapomniał jak prąd przesyła i kół
zawracających brył. Jakaś rzeczka ta kosztowała
tęty tysiąca dwudziestu złotych. Sięgając tego pomysłu
możesz też stworzyć jako lampkę nośną musisz tylko
odpowiednio obstarwić kryształek pryzmatyczny.
Nie mówię tu o lampie lecz o lampce przed obrazkiem
t.j.p. Odpisz proszę.



rybka wielkości nat.

Adautu
przewodzący

Władek

urku

P.S. Zadanych anawzków w liście nie
zmałoztem

Wydawać by się mogło, że zakończyła się historia życia jednego człowieka. Nic bardziej mylnego. Włączona w bieg wydarzeń trwać będzie dotąd, dopóki trwa pamięć ludzka, dopóki istnieje potrzeba łączenia pojedynczych istnień i zdarzeń w większą całość obrazującą otaczający nas świat.

E. S.